№ 15. Warszawa, dnia 9 Kwietnia (28 Marca) 1887 r. Rok VII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

CIEKAWE STARCIE.

Ani rząd niemiecki, ani jego dzienniki nie liczą się zwykle z sądami prasy rosyjskiej, uważając je za wyraz mniemań prywatnych, w słabem tylko echu odbijających nastrój sfer kierowniczych. Wyjątek pod tym względem od lat kilku stanowią *Moskowskija Wiedomosti*, a raczej p. Katkow. Skoro tylko za granicą spostrzeżono, że organ ten z jednej strony jest najwierniejszym tłomaczem zapatrywań rządu, a z drugiej na nie oddziaływa, zaczęto jego wystąpienia uwzględniać i ściśle ważyć. Nie uwydatniała się ta baczność dostatecznie, póki p. Katkow był przyjacielem Niemiec i ich politykę nawet w najsurowszych zastosowaniach pochwalał. Ale nareszcie, publicysta moskiewski, niezadowolony, począwszy od wypadków bułgarskich, z dyplomatycznej gry niemieckiej, zwrócił się przeciwko niej całym frontem. Według niego, Rosya jest stale i bezecnie oszukiwaną; na jej drogach ks. Bismark kopie wilcze doły, w które ona nieustannie wpada i nogi sobie łamie. Zrobił to podczas wojny tureckiej, po rewolucyi bułgarskiej, robi wszędzie, gdzie tylko może, zastawiając się ustawicznie cudzemi plecami lub chwastem dyplomatycznych grzeczności. W słowach aż do mdłości słodki, czynami pracuje nad odosobnieniem, zrujnowaniem i ubezwładnieniem swej sąsiadki. Rosya też, odsunąwszy niechęci, wypływające z różnicy ustroju państwowego, powinna zawrzeć przymierze z Francyą i łącznie z nią okiełznać rozhukane Niemcy.

Cały ten wywód p. Katkowa utknął jak kij w mrowisku prasy gadzinowej. Zaroiły się spłoszone i gniewne owady, a najgłośniej krzyczeć zaczęła ich macierz—*Nordd. Allg. Ztg.* Usiłowano gazecie moskiewskiej dowieść, że podsyca w swym narodzie niezdrowe instynkty, że sieje nienawiść i odcina swą ojczyznę od stosunków przyjacielskich z obecnemi mocarstwami. P. Katkow wystąpił w tytułach wielu artykułów zgryźliwych i groźnych. Prasa rosyjska, która otwierając swe serca szczerze, ukazuje w nich zawsze niechęć do niemców, zapomniała o pretensyach domowych i osłoniła przed pociskami redaktora *Mosk. Wiedomosti*. Najenergiczniej stanęło po jego stronie *Now. Wremia*: „Rzecz dziwna! — pisze ono. Możnaby pomyśleć, że berlińskie i wogóle niemieckie gazety przedzierzgnęły się w rosyjskie, tak gorąco biorą do serca sprawy wewnętrzne Rosyi. Cóż je głównie niepokoi? Oto ukazanie się w Rosyi spółzawodnika ks. Bismarka, i to spółzawodnika w osobie jakiegoś dziennikarza Katkowa. Wie bardzo dobrze ks. Bismark, że dziennikarz ten położył niewątpliwe zasługi, że słowa jego posłuch znajdują. Jak każdy, i on błądził, z biegiem czasu zmienił swoje zasady, ale mówił zawsze tonem człowieka, mającego swe przekonania, zawsze w imię spraw ojczyzny swojej. Pierwszy też uwolnionym został od uprzedniej cenzury, a wykrycia jego podczas powstania polskiego, szczere uczucie rosyjskie, przezorność — zrobiły swoje. W Rosyi ma on dziś nieprzyjaciół, lecz łatwo to wytłomaczyć: on zwykle mówi wprost i nie oszczędza liberalizmu rosyjskiego, gdziebykolwiek ten się ukrywał. Mówi śmiało o wszystkiem, co zdaniem jego podkopuje, tak czy inaczej, potęgę władzy. Jest to dziennikarz, nie zaś mąż stanu. Jako dziennikarz, pełnił swoje obowiązki: wskazywał te lub owe wadliwości, może się unosząc, może przesadzając, ale dziennikarstwo — to nie protokół, to nie fotograficzne kopiowanie rzeczywistości. Otóż ks. Bismark skierował gromy swoich gazet przeciwko temu dziennikarzowi. Jak zawsze, gromy rozlegają się stopniowo, wprzód zdala, a potem coraz bliżej. Zagrzmiało w Kolonii, potem w Berlinie z *National Ztg*, która umieściła długi artykuł: *Katkow und russsiche Regierung*; w *Post* ukazał się także artykuł p. t. *Herr Katkow*. Gdyby tylko mogły, gazety ks. Bismarka zmiażdżyłyby p. Katkowa, jako osobistość w najwyższym stopniu szkodliwą pod wszelkimi względami."

Graždanin, którego wesoły komentarz podajemy na innem miejscu, żartuje sobie z przesady, ale *Petersb. Zeitung* ma do pewnego stopnia słuszność, gdy p. Katkowa zalicza „w tej chwili do najgłośniejszych osobistości w Europie." Istotnie, zaniepokojona lub rozdrażniona prasa niemiecka zeŚrodkowała na nim całą swą uwagę, niczuje jego artykuły i czyni poważne wysiłki zdruzgotania przeciwnika skuteczną bronią. Katkow zajął dziś w jej oczach miejsce Boulangera.

Zaznaczamy wybuch tej walki bez rozbioru jej czynników a nawet bez przepowiedni jej końca. Nie możemy tylko powstrzymać się od jednej uwagi, mianowicie, że posiada ona daleko większą doniosłość, niż na pozór mniemać można. Nie jest to bowiem zwykła polemika dziennikarska, ale wyzwanie i rzucenie rękawicy Niemcom za strony bardzo silnego żywiołu, który dotąd darzył je sympatyą i skutecznem poparciem. Już nie sam p. Katkow, ale narodowy konserwatyzm Rosyi w naturalnym swym rozwoju doszedł do punktu, od którego zaczyna się rozdroże dla interesów niemiecko-rosyjskich. Publicysta moskiewski ma wielu zwolenników, a nadto prąd przez niego rozdmuchany porywa swą energią mnóstwo pierwiastków dalszego pokrewieństwa i wytwarza gwałtowne parcie przeciwko Niemcom. Jest to dla nich wylew równie groźny, jak nieoczekiwany, i z tego powodu, rozumiejąc niebezpieczeństwo, sypią przeciw niemu tamy i groble. Zaledwie potrzebujemy dowodzić, że wszy-

scy, którym dokuczyła przemoc niemiecka, z wielką przyjemnością przypatrują się jej kłopotom, a zwiększą jeszcze przypatrywaliby się wyrwom i wyłomom w jej szańcach bez względu na to, kto ich dokona. Niezwyciężona twierdza krzyżacka budzi tylko postrach i nienawiść, a gruzy padające z jej murów z pewnością nikogo w Europie nie przejęłyby smutkiem.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Powiew świąteczny już rozpłynął się po warsztatach politycznych i wstrzymuje w nich działalność spiesznieJszą. Siłą ruchu nabytego biegną jeszcze sprawy dawniej poczęte, powikłania chroniczne, walki głęboko tkwiące, ale i one przybierają postać łagodniejszą. Niewątpliwie rana bułgarska w ostatnich czasach otworzyła się szerzej. Z jednej strony kraj pod brzemieniem niepewności przyszłych swych losów niszczeje ekonomicznie, rozstraja się politycznie i moralnie, z drugiej mocarstwa uczuwają coraz mocniejszą chęć zakończenia tego procesu gnębiącego i drażniącego. Podobno Porta znowu wyśle do dworów europejskich okólnik, domagający się natarczywie wyboru księcia. Wysłannik regencyi długo obradował w Wiedniu z ministrem spraw zewnętrznych, ale w dalszą podróż się nie puścił i nie wiadomo, co do domu wywiózł. Dzienniki rosyjskie przypuszczają, że wycieczka ta miała związek z rzuconą przez posła angielskiego w Konstantynopolu White'a myślą utworzenia federacyi państw bałkańskich pod zwierzchnictwem Austryi. Myśl ta naturalnie padła lapisową kroplą na rozdrażnione stosunki sąsiedzkie i wywołała ostry krzyk bólu. Dawno ona już narodziła się, ale czy kiedykolwiek dojrzeje— wątpić można. W każdym razie musiałaby wytrzymać ogniową próbę wielkiej wojny i jako produkt ustępstw pokojowych i targów dyplomatycznych w życie nie wejdzie.

Przymierze niemiecko-austryacko-włoskie, które było najpokaźniejszym kwiatkiem tegorocznej wiosny, już zaczyna tracić swe barwne płatki, a ponieważ nie wiadomo, czy wyda jakiekolwiek owoce, przeto dostarcza już tylko materyału do t. z. artykułów „od biedy.“ Obojętność świata i prasy płynie przedewszystkiem z tego przekonania, że Włochy na szalach polityki europejskiej ważą zbyt mało.

Klejąc i rozklejając swój gabinet, podobno już go zlepiły pod skrzydłami Depretisa. Na długo? No, zapewne na dłużej, niż Francya swoje ministeryum, które o maleńki włos nie wyleciało z siodła. Widocznie „sezon“ na nowe jeszcze nie nadszedł.

Parlament angielski śmiało i bezczelnie przepycha swój bil przeciwko Irlandyi. Nawet śród zachowawców niektóre jego przepisy zbudziły niechęć swą surowością i bezmyślną wiarą w skuteczność okrucieństwa. Bądź co bądź, anglik nawet w swym egoizmie kupieckim czuje wartość konstytucyi, którą częściowo wydziera wspólnikom swego życia konstytucyjnego, czuje sromotę i przekleństwo gwałtu, które Nemezys zbiera i potem nieoczekiwanym gromem na winnych ciska. Nietylko parneliści, ale Gladstone ze swym orszakiem opuścił salę posiedzeń przy czytaniu bilu.

Galimberti, obdarzywszy falangę reporterów niemieckich karmelkami, których pokłoczki brzmiały pochwałą dla ks. Bismarka, powrócił do Watykanu. Centrum ma otrzymać stamtąd nowe polecenie pokory przed kanclerzem, który rozparł się dziś w sercu Leona XIII. Że stronnictwo to zostanie przez papieża rozpylone dla skropienia kwiatów Bismarka — to już zaledwie ulega wątpliwości.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Paryż, 20 marca.

Jak się Paryż bawi? — Ostatki. — Śródpoście. — Bale.— *Café-concerts* i piosenki. — Życie towarzyskie.— Komfort domowy i gospodarność. — Grzeczność i uprzejmość. — Uczynność i kredyt. — Kobiety, małżeństwo i miłość. — Konkubinat. — Filantropia. — My.

Zima w Paryżu nie przybiera się wcale w karnawałowe blaski, ale też i nie posypuje głów popiołem. Szalone wybryki taneczne i wycieranie kolanami posadzek kościelnych, nieopatrzny grzech i korna pokuta — są to sprzeczności właściwe narodom młodszym i bardziej religijnym. W starym Paryżu zima upływa bardziej jednostajnie i szaro. Francuzi zresztą tańczyć nie lubią; wogóle nawet w domach rzadko przyjmują i to na zwykłą jedynie pogawędkę. Arystokracya wyprawia czasem rauty lub komiczne zabawy z przebieraniem, ale zdarza się to rzadko; bale „resursowe“ lub „kasynowe“ nie istnieją. Bale „Opery“ odznaczają się tylko natłokiem ludzi, którzy o tańcach wcale nie myślą; maskarady nie budzą żadnego interesu. Nawet na osławionych balikach tygodniowych w „Jardin de Paris“ lub w łacińskiem „Bullier“ tańczą kankanowego kadryla zazwyczaj tylko pary... wynajęte do tego specyalnie. Reszta publiczności gapi się i przechadza w kapeluszach. W tak zwane „jours gras,“ w ostatki, zapusty przenoszą się na ulicę i ten jednak obyczaj wychodzi z użycia i maski zabawne stają się rzadkością. Nawet żwawsze ongi „śródpoście,“ „mi-carême,“ straciło dawny swój kostiumowo-wesoły charakter. Ludzie wychodzą jeszcze na ulice, żeby coś ujrzeć, wracają jednak zawiedzeni; widzów nie brak, lecz zbywa na aktorach.

Powiecie tedy, że się francuzi „nie bawią.“ Bawią się istotnie na swój sposób, odmienny od naszego, tradycyjnego. Ci, co mają pieniądze i czasu wiele do stracenia, grają zazwyczaj — dniem w zakłady, na wyścigach, które tu ustają tylko na parę zimowych miesięcy—wieczorem i nocą w klubach, przy zielonych stolikach z kartami lub bez kart. Pewna część odwiedza teatry, lub lżejsze od nich „café-concerts,“ gdzie za tańsze pieniądze można mieć miejsce z „konsomacyą“ i gdzie niema antraktów. Błędnem jest mniemanie, jakoby owe paryskie „café-concerts“ były siedliskami wyuzdania i rozpusty. Koncerty te posiadają istotnie repertuar wcale nieklasyczny, aktorowie nie chodzą tam na koturnie, śpiewają i mówią rzeczy wogóle lekkie, często tłuste i nieco podkasane, częściej jednak widzisz zwykłe błazeństwa, za któremi przeciętny paryżanin przepada i gotów śmiać się byle z czego do rozpuku. Publiczność paryska wogóle pruderyą nie grzeszy; niewątpliwie jednak tutejsze „café-chantants“ są najprzyzwoitsze w Europie. Cenzura teatralna opiekuje się niemi dosyć gorliwie i wszelkie niekompletne ubiory kobiece wyłączone są ze sceny stanowczo. To też gromady paryżan przychodzą tu z całemi rodzinami i bawią się doskonale. Znany krytyk teatralny, Sarcey, prowadzi od dawna kampanię, zdążającą do oczyszczenia tych miejsc rozrywki od zadawnialych uprzedzeń. Wykazuje on, że „koncerty kawiarniane“ dogodniejsze są, dostępniejsze i przyjemniejsze od zwykłych teatrów, które swiecą coraz częściej pustkami, kiedy „café-concerts“ rozwijają się coraz pomyślniej. Nie wszystko zresztą w tych koncertach jest błazeństwem. Niedawno jeden z takich zakładów urządził cały szereg „koncertów historycznych,“ na których przypomniano stare i zapomniane

---

1)

POWIEŚĆ.

NERWOWY

przez

Peschkau.

Siedziałem w biurze redakcyjnem i właśnie kończyłem wstępny artykuł o słynnym procesie krzywoprzysięstwa w B., gdy służący zapowiedział mi jakąś kobietę.

— Proś — zawołałem rozgniewany.

Dobrze mi się dzisiaj wiedzie! Po każdych dwóch zdaniach mego artykułu następowała jakaś wizyta, a jeżeli treść będzie tak zgmatwaną, jak teraz wiruje w mojej głowie, to można — powinszować czytelnikom naszego pisma.

A więc kobieta — zapewne „sawantka.“ Czarne okrycie, krótkie włosy, smutny wyraz twarzy, zwitek w ręku — widziałem to już wszystko w wyobraźni, ponieważ często podobne postacie przesuwały się przede mną. Omyliłem się, a gdy kobieta weszła, niechęć we mnie znikła i wbrew mojemu zwyczajowi, wskazałem jej przyjaznym gestem krzesło. Była to panna Łucya Ramzon z Teatru rozmaitości, która dzięki swojej ponętnej twarzyczce i zgrabnej postaci stanowiła główny powab sceny. Mówiliśmy o rozmaitych rzeczach, przytem zauważyłem—czegoż człowiek nie zauważy w ładnej osóbce! — że panna Łucya miała zupełnie taką samą broszkę, jaką zwykle z upodobaniem nosiła moja żona. Był to motyl, w którego złotych skrzydełkach tkwiły niezapominajki emaliowane. Spostrzegła mój wzrok i zarumieniła się cokolwiek — nie wiem dlaczego! Była to może tylko kokieterya, towarzysząca uściskowi ręki za przyrzeczenie poparcia jej benefisu. Następnie zaszeleściały jedwabie, jeszcze raz ujrzałem jej lśniące ząbki perłowe, jeszcze jeden uścisk ręki i zniknęła. Tylko delikatny zapach perfum, napełniający przestrzeń, przypomniał mi jeszcze pstrą ptaszynę, która przez kilka chwil rozweselała ten pokój. Zaledwie drzwi się za nią zamknęły, gdy wszedł starszy zecer z groźnem spojrzeniem.

— Wiem już — zawołałem niezadowolony; masz pan wstępny artykuł, korektę sam przejrzę, po fejleton przyślij pan za pięć minut.

Wziął rękopis, marszcząc czoło.

— Już pora...

— Słyszysz pan przecie — za pięć minut. Nie można zrobić wszystkiego na poczekaniu. Ach ta wieczna męka, nie jestem chyba jedynie stworzony dla zecerów.“

Zecer uśmiechnął się ironicznie.

— Znowu pan dziś nerwowy, i dlatego to tak długo trwa.

Drzwi się nagle rozwarły a przez nie wbiegł młody człowiek, elegancko ubrany; jednocześnie zecer się oddalił.

— Dyrektor zapytuje, czy przyjmą panowie reklamę dla Walhalli?

Niech was dyabli wezmą — pomyślałem sobie, a następnie dodałem głośno:

— Walhalla, jeszcze co! Tego nie można przecież podać w przeglądzie artystycznym, nieprawdaż?

Młodzieniec ukłonił się.

— Nie znam się na tem, zresztą teraz idzie nam tylko o bale maskowe — dziś jest pierwszy.

— Dobrze, dobrze, poczekaj pan trochę. Wołają mnie do telefonu.

Wstałem i przyłożyłem ucho.

— Korektor zapytuje, czy satyra pisze się przez *y* — czy przez *i*? Utrzymuje on rów-

już piosenki francuskie. Usłyszeć tu jeszcze można niezrównaną Teresę, śpiewającą nawet rzewne i pełne uczucia romanse i ballady. Paulus oryginalnie i z talentem odtwarza piosenki pełne brawury i śmiałej barwności. Wogóle typy charakterystyczne lub komiczne, wykrawane z życia paryskiego lub wogóle francuskiego, pojawiają się nader często na scenach tych teatrzyków. Nierzadkie są również epizody, zaczerpnięte z życia wojskowego lub bytu wieśniaków, a nuta patryotyczna elektryzuje zazwyczaj koncertową publiczność.

Oczywiście nie braknie Paryżowi i koncertów na wielką skalę z arcydziełami mistrzów własnych i obcych, na których pojawiają się głośni skrzypkowie, pianiści, śpiewacy, znani i znakomici artyści; na melomanach im nie zbywa, szeroka jednak publiczność szuka rozrywek łatwiejszych. Z małych to scen koncertowych rozchodzą się po całym Paryżu popularne piosenki, które na długo stają się „kokluszem“ wszystkich paryżan, nucone i gwizdane wszędzie, na ulicy, w warsztatach i przy biurkach. Są one niejako miniaturową kwintesencyą szerszego paryzyanizmu, posiadają swój właściwy charakter, filozofię, humor, lotność i szyk. Nie zawsze nawet puste i bezmyślne, a w tym względzie wyróżniają się korzystnie ludowe. Kastowe zresztą rozróżnienia w tutejszem życiu prawie nie istnieją. Paryżanin po za drobną stosunkowo kliką „pschuttowców“ i „ugumowanych“ jest paryżaninem, czy pracuje przy biurku, czy w warsztacie. Piosenka wogóle jest jednym ze znamiennych wytworów Paryża, panuje w nim szeroko i niepodzielnie, wyrażając jego ducha i nastrój.

Dodajmy teraz do tego gwarne życie publiczne, zebrania, posiedzenia stowarzyszeń i towarzystw, ruchliwą prasę, roznoszoną, okrzykiwaną i sprzedawaną po ulicach; dołączmy literaturę, sztukę, częste wycieczki za miasto a zrozumiemy, że Paryż się nie nudzi, aczkolwiek niema dziś właściwie salonów, życia towarzyskiego i tańców. Brak zresztą towarzyskiej „flirtacyi“ (flirtation) paryżanin lub paryżanka wynagradzają sobie w inny sposób. Przedewszystkiem ludzie tu dużo pracują, zrywają się rano i nie łatwo zdobywają sobie środki potrzebne do wygodnego życia. A wygód nikt sobie nieodmawia; nawet mniej zamożni, robotnicy, uważają je za potrzeby konieczne i niezbędne. Wygodne i z pewnym dostatkiem urządzone mieszkanie uważane jest powszechnie za rzecz nieuniknioną. Pokoje wogóle szczupłe i nieliczne, meble jednak a szczególniej dywany, firanki, portyery i różne cacka, wyrabiane nawet po cenach bajecznie nizkich, czynią je dostępnemi prawie dla każdego. Nikt też się bez tego domowego dostatku nie obchodzi, zarówno kapitalista, jak robotnik. Ten ostatni kupuje tylko rzeczy w gorszym gatunku, chociaż z pozoru nieustępujące najdroższym. Zamożniejsi, z wykształconym smakiem artystycznym, lubią się tu otaczać sprzętami droższymi lub noszącymi jakieś wybitniejsze piętno artystyczne. Meble *Louis quinze*, Dyrektoryatu, *empire* mają licznych zwolenników; japońszczyzna i chińszczyzna — całe ich legiony; zbieracze „bibelotów“ liczą się na tysiące a mieszkania ich wyglądają jak magazyny antykwarskie lub muzea starożytności. Je się stosunkowo nieźle: dwa obiady dziennie, w południe i o szóstej wieczorem, nie licząc różnych napojów w antraktach, je się przytem zawsze z winem, z deserem, owocami. Jest to reguła, od której nie uchyla się robotnik, zarabiający średnio 5 franków dziennie (przeszło dwa ruble według kursu) a często znacznie więcej.

Kobiety francuskie, z wyjątkiem o wiele mniej licznych niż u nas „pań,“ pracują wiele po za domem, w różnych zakładach, sklepach itp. lub w domu przy gospodarstwie. Każda zresztą *menagère*, gospodyni, jest *madame*, jak każda niezamężna—*mademoiselle*. Służba jest natomiast artykułem zbytku, którego pozwalają sobie tylko zamożni. Służąca otrzymuje przyzwoite wynagrodzenie, ma swój pokój oddzielny, zwykle na najwyższem piętrze i na ulicy niczem nie różni się od swojej pani. Odpowiednio też jest traktowaną i nosi już dziś nazwę „bony,“ nie „służącej“ (servante). Dzieci mają osobne niańki i mamki, najdrożej płatne i ubierane zawsze w pewien strój konwencyonalny, którego składową częścią jest rodzaj czepca z olbrzymiemi wstęgami, spadającemi do ziemi. Zaopatrzenie domu we wszystkie potrzeby gospodarskie jest zresztą nadzwyczaj ułatwione; wszystko, prawie już gotowe, mogą przynieść do domu, „une menagère“ potrzebuje zresztą zrobić tylko kilka kroków od swego domu z gustownym koszykiem zamykanym w ręku, ażeby potrzeby swe gospodarskie uzupełnić. Nie waha się przytem wyjść w zwykłem ubraniu, zawsze zresztą przyzwoitem i gustownem, nawet bez kapelusza i rękawiczek; wogóle bowiem wyjście na ulicę nie uważa się tu za coś sakramentalnego, potrzebującego licznych przygotowań i odpowiedniego nastroju. Przebiega się z jednej ulicy na drugą jak z pokoju do pokoju. Rozgraniczenie między „salonem“ i „ulicą“ nie jest zbyt ściśle przestrzegane.

Stosunki między ludźmi cechuje tu wielka uprzejmość i grzeczność, nieograniczająca się na jednej, jakiejkolwiekbądź klasie, lecz obejmująca całą ludność Paryża. Mijając się z kimś nieznajomym na schodach, zwyczaj nakazuje uchylić kapelusza i przeprosić grzecznem: *Monsieur! Madame!* lub *Mademoiselle!* Zamawiając cokolwiek w restauracyi lub kawiarni, żądając czegoś w sklepie, należy dodać uprzejme *s'il vous plait*; pytając o coś, dołączyć nieuniknione: *Monsieur, Madame, Mademoiselle.* Uprzejmość ta, grzeczność i gotowość do usług uderza was na każdym kroku, czy pytacie pierwszego lepszego przechodnia o ulicę, czy wymagacie drobnej usługi na zebraniu publicznem, w kawiarni, w wagonie drogi żelaznej. Jeżeli się zdarzy komuś drobny jakiś wypadek, nikt nie przejdzie obojętnie, każdy na pomoc pospieszy. Uczynność wogóle jest wielką i chętną; doświadczył tego każdy, kto miał stosunki z ludnością francuską, a szczególniej paryską. Nie zna ona znowu granic klasowych, rozciągając się do wszystkich ludzi zarówno i torując drogę istotnej równości demokratycznej. Wzajemne zaufanie i kredyt w granicach racyonalnych każdy ma na usługi. Rachunki w sklepach artykułów spożywczych, z dostarczycielami chleba, mięsa itd. załatwia się tygodniowo, miesięcznie, kwartalnie, odpowiednio do stosunków majątkowych klienta i kredyt taki ma tu każdy na zawołanie, co pozwala niekiedy przetrzymać chwile przesileń i bezroboci. Targi żadne przy kupnie nie są znane, ceny zawsze stałe i jednakowe dla wszystkich. Cudzoziemcy od tych cywilizacyjnych udogodnień nie są wyłączani, chociaż na ciężkie niekiedy wystawiają próby francuską grzeczność i uczynność. Są to, powiedzie, drobiazgi, drobiazgi jednak, które znamionują wybornie pewien stan społeczny, pewien stopień kultury i obyczajenia, a charakteryzują nieraz lepiej, niż długie i zawiłe rozprawy teoretyczne.

Kobiety otaczane są ogólną względnością i galanteryą, nieprzekraczającą nigdy zresztą granic przyzwoitości. Pisano już bardzo wiele i opowiadano ze zgrozą o zepsuciu i rozwiązłość kobiet francuzek, o rozluźnieniu węzłów rodzinnych, o zanikaniu uczuć macierzyńskich i ojcowskich, o wyrzekaniu się nawet dzieci. We wszystkiem tem jest wiele prawdy, kwestye te jednak sądzić należy bez świętobliwego z góry oburzenia, zaślepiającego patrzących i do innego ustroju przywykłych, lecz sądzić je z tego stopnia kultury i uspołecznienia, na którem stoi

---

nież, że książe bułgarski urodził się 5 kwietnia 1857 roku, a nie 4-go jak pan napisał. Z nowelki trzeba wykreślić 20 wierszy. Czy można opuścić ustęp ostatni?

Jak tu człowiek ma być zdrowym! — pomyślałem.

— Walhalla wejdzie do oddziału reklamy.

Następnie odpowiedziałem przez telefon i zaledwie ukończyłem, drzwi się znowu rozwarły i w podskokach wpadł szczupły młodzian o potężnym, orlim nosie i chytrze uśmiechających się oczach.

— Wielka, sensacyjna nowina! Każ pan wydrukować o tysiąc egzemplarzy więcej; całe miasto o tem tylko mówi, ale uprzedzam, że nie pozwolę nic wykreślić.

— Ale, co też pan mówisz? Ten olbrzymi artykuł? To niepodobna.

— Koniecznie, panie, koniecznie. Nie umieszczaj pan wstępnego artykułu, fejletonu, kto dzisiaj o to pytać będzie?!

— Ale co się właściwie stało?

— Syn radcy M. — co też się teraz dzieje na tym bożym świecie! — szlachetna rodzina, bardzo szlachetna... osiemnastoletni młodzieniec, rówieśnik syna pańskiego...

— No i cóż się stało?

— Jest złodziejem, schwycono go na gorącym uczynku w jakimś sklepie.

— I to wszystko?

Odstąpił na krok i zmierzył mnie całego.

— Sądzę, że...

— Naturalnie — bardzo interesujące, ale może pan to streścić w 10-u wierszach.

— Niemożebne.

— Artykuł będzie wynagrodzony.

— W takim razie do usług pańskich — mam nawet na pogotowiu krótkie streszczenie, ale czy to nie jest świetne, fenomenalne? Wyobraź pan sobie, gdyby to syn pański popełnił tę kradzież...

— Fejlcton! — usłyszałem z telefonu.

— Słyszysz pan, mam zajęcie — żegnam.

Młodzieniec zniknął tak prędko, jak wyszedł.

Fejleton! co tu wybrać?

Usiadłem przy stole i wyjąłem kilka zeszytów. Znajome pismo, zupełnie o niem zapomniałem. Jest to praca naszego lekarza domowego: „Nasz wiek nerwowy“ — to pomieszczę. Odłożyłem pozostałe rękopisy i zacząłem czytać. Tak, autor ma słuszność, doskonale! Jak świetnie urąga on cywilizacyi, jak chłoszcze walkę o byt, współubieganie się o żywność, pieniądz i honor. Tak, tak, np. gdyby nie istniało nasze pismo współzawodnicze, łatwiej bym wybrnął z mojego artykułu wstępnego. Brawo, doktorze, czem dalej, tem lepiej! Teraz wyśmiewa szkołę, przepych, żądzę przyjemności, teatry, koncerty, bale. Naprzykład wczoraj, chętnie byłbym został w domu i odpoczął, ale mojej żonce zachciało się koniecznie pójść do państwa H. A jej nerwy, mój Boże, doktór jej ciągle radzi prowadzić życie spokojne, domowe, a czy kobiety słuchają!! Co do mnie, to prawda, że zbyt wiele pracuję i niszczę swoje zdrowie. Radzi mi odpocząć kilka miesięcy— w każdym razie porzucić politykę. Będąc redaktorem, ma się i tak dosyć pracy, trzeba więc porzucić manię polityczną. Zanadto się męczymy, każdy z nas pełni kilka zajęć; jeden poetyzuje, drugi komponuje, trzeci politykuje, obok zawodu specyalnego — doktorowi łatwo prawić. Kazanie nie jest sztuką... ale w czytaniu sprawia przyjemność, dlatego też chętnie czytamy podobne kazania... Człowiek o niczem przytem nie myśli, cieszy się tylko, że jest zupełnie innym. Tak, tak, fejleton śliczny...

A teraz następstwa tego działania.

społeczeństwo francuskie a szczególniej paryskie. Małżeństwo jest tu zazwyczaj interesem, układem, opartym na stosunkach materyalnych stron obu; obok zaś niego szeroko są rozgałęzione wolniejsze związki między płciami, ale nie zupełnie „wolne,“ tylko regulowane przez obyczaj i obustronne wymagania. Uważane tu jest za regułę, że kobieta sama nie może sobie dać rady w świecie, mężczyzna jednak także szuka zawsze opory i towarzyszki. Obok węzłów uprawnionych i opartych, jak powiedziałem, zazwyczaj, na względach majątkowych, istnieje coś jakby druga rodzina, nosząca nawet nazwę „naturalnej,“ oparta na związkach, zawartych zwykle wcześniej i niezależnie od przyjętych ustaw małżeńskich. Połączenia takie ulegają oczywiście szybszym, łatwiejszym i częstszym zmianom, nie mniej wszakże pociągają za sobą obowiązki i wytwarzają powinności, mało znane w społeczeństwach ściśle monogamicznych, gdzie znowu po za małżeństwem praktykuje się na szeroką skalę miłosny rozbój i rabunek, polowania z naganką na zwierzynę kobiecą. Zwierzyna ta umie lepiej tu zabezpieczyć swe prawa i wymagania a zwyczaj, opinia publiczna, sądy nawet wspierają ją w tem. W tych warunkach po za małżeństwem lub obok niego wytwarzają się związki mniej lub więcej przygodne, wogóle jednak stosunkowo dość trwałe i zabezpieczające poniekąd kobietę. To, co się wydać może nawet zdaleka wyłącznie interesownością, wyłączającą wszelkie przywiązanie, które ma być jakoby czysto bezinteresownem, jest często tylko zabezpieczeniem pewnych praw i wymagań strony słabszej. W dzielnicach robotniczych małżeństwo legalne, otoczone licznemi formalnościami i trudnościami, staje się nawet coraz rzadszem. Pary zakochane i pracujące „żyją na wiarę,“ co się często ciągnie przez całe życie, lubo istnieje w Paryżu siedemnaście stowarzyszeń religijno-filantropijnych, popierających związki ślubne wśród ludności mniej zamożnej. Niezadługo zresztą przyjdzie zapewne czekać na to, że „konkubinat,“ podobnie jak w klasycznym Rzymie, otoczony zostanie opieką prawa, dziś bowiem chroni go tylko od nadużyć zwyczaj i opinia. Na tle tem wytwarza się zazwyczaj wiele dramatów i tragedyj, znajdujących swe odbicie w rocznikach sądowych i prasie. Przypatrując się temu społeczeństwu ze stanowiska antropologicznego, widzimy, że nie opiera się ono wyłącznie na monogamii, jedynie ulegalizowanej, chociaż niedawno Renan nawet powiedział do młodzieży, że rzymskie i kanoniczne „matrimonium“ wyda się nam może niezadługo zbyt ciasnem i wyłącznem. W gruncie rzeczy społeczeństwo to żyje dziś w poligamii i poliandryi, uświęconej poniekąd przez zwyczaj, nieuznanej atoli dotąd przez prawo. Opinia czerpie w tym stanie rzeczy pobudki do swej wyrozumiałości, stosunki te jednak wytwarzają faryzeizm, obłudę, nieszczerość, krzyczącą nieraz sprzeczność faktów z wyznawanemi głośno zapatrywaniami. Pod pokrywką uznanego konwenansu kryje się mnóstwo rażących dziwactw, stosunków, do których się ludzie nie przyznają (inavouable), panujący zaś obok przeżytych form przesyt, newroza, zepsucie i wynaturzenie dochodzą do potworności.

Wspomnieliśmy o młodzieży, kształcącej się w wyższych zakładach, która po długich dopiero latach nauk i wyczekiwania zdobywa niezależne utrzymanie i stanowisko. Młodzież ta we Francyi należy wyłącznie prawie do rodzin zamożnych. Jest jej w samym cyrkule łacińskim z dziesięć tysięcy. Oczywiście, cały swój wiek, lata między dwudziestym a trzydziestym rokiem życia przepędza ona nie w zamknięciu klasztornem. Zawiązują się więc stosunki mniej lub więcej stałe z kobietami różnych kategoryj; stosunki te bywają zazwyczaj dość trwałe, a często przeciągają się po za okres, w którym ukończony prawnik, lekarz lub inżenier zdobył karyerę i ożenił się z posagiem odpowiednio do swego stanowiska w społeczeństwie. Młode kobiety, żyjące a i mieszkające ze studentami, stanowią osobną kategoryę. Są one im często dość wierne i stosunki wzajemne trwają nieraz lata całe, sprzeniewierzenia się zaś idą na karb młodej żądzy zmian lub nawet poligamii i poliandryi! Towarzyszki te młodzież traktuje jako „żony swej młodości“ (femme de ma jeunesse), ukazuje się z niemi na ulicy pod rękę, odwiedza wspólnie restauracye, teatry, kawiarnie i baliki. Mnóstwo kawiarni w łacińskiej dzielnicy wieczorem przepełnionych jest tą obupłciową młodzieżą, grającą najczęściej w pikietę, lub zabawiającą się rozmową przy czarnej kawie poobiedniej lub szklance piwa. Nie należy sobie wyobrażać, że dzieją się tam orgie. Bynajmniej. Towarzystwo zawsze prawie, z pewnymi, małymi wyjątkami, zachowuje się zupełnie przyzwoicie: żadnych gestów nieskromnych, żadnych słów ubliżających; wobec kobiet młodzież ta pełną jest uprzedzającej nieraz grzeczności i uprzejmości, aczkolwiek zna ich stanowisko społeczne. Towarzyszki to kolegów, przyjaciół i znajomych traktowane są nieledwie jako ich młode małżonki. Przyznać jednak należy, że w nienormalnych tych, bądź co bądź warunkach żeńska ta połowa jest gorszą od męzkiej i źle oddziaływa na ostatnią. Tu zatem prostytucya, gnieżdżąca się w domach publicznych i występująca cynicznie na ulicę, zanika coraz bardziej i dzieje się tak w całym Paryżu. Zdanie to wyda się może zbyt śmiałem, nie waham się jednak wyciągnąć wniosku, że w miarę jak poligamia i poliandrya przenika wszystkie warstwy, prostytucya, zrodzona przy patrymonialnej wyłączności — ustępuje.

Dodać jeszcze wypada, że w zepsutym Paryżu dobroczynność publiczna i prywatna jest nader czynną. Szpitale i domy dla położnic są bezpłatne, nocne domy przytułku otwierają swe gościnne podwoje dla mężczyzn i kobiet, wychodzący ze szpitali i domów położniczych znajdują również pomoc i przytułek. W samym środku dzielnicy łacińskiej kryje się przytulisko dla kobiet upadłych, pragnących wyjść z położenia, w jakie wtrąciła je nędza, lekkomyślność lub zdrada kochanka. Żłobki dla podrzutków, nie zupełnie zresztą otwarte i dostępne, przyjmują rocznie we Francyi około 3,000 niemowląt.

Oto w pobieżnej perspektywie życie towarzyskie Paryża. Cechą jego charakterystyczną w wielkiej masie jest wyrównywanie się, jeżeli nie położeń społecznych, to wymagań, upodobań, potrzeb i wykształcenia, wzrost nie salonowej, lecz codziennej towarzyskości, która ludzi zbliża i łączy... Nam, rzuconym na bruk paryski z innego świata, nie wszystko tu, wyznać należy, wydaje się idealnem. Stosunki te noszą niewątpliwie cechę demokratyczną, właściwą starej i wyrobionej kulturze; ta jednak drobiazgowość, zegarkowa regularność życia, jego wygódki, sybarytyzm nieledwie, obok braku szerszych i śmielszych prądów, kryjących się w kołach nielicznych; ta miłość, redukująca się do fizyologicznych prawie tylko popędów i temperamentu; ta młoda inteligencya, myśląca tylko o karyerze i wiodąca życie krzykliwe trochę, lecz nadzwyczaj trzeźwe — całe to społeczeństwo drobnomieszczańskie, stojące u schyłku starości, czy też na progu dopiero głębszego odrodzenia, nie pozwala nam zapomnieć o innych, mniej wydoskonalonych, bliższych jednak i droższych stosunkach społecznych.

E. Przew.

Jak on to wszystko dobitnie maluje, aż włosy na głowie powstają! Dobrze, to się podoba. Jeśli nasi lekarze zaczną pisać fejletony, to nie będziemy pomieszczali dreszczem przejmujących romansów. Histerya, hipochondrya, melancholia, taniec św. Wita, epilepsya, niedołęztwo, głuchota — brr! brr! coraz lepiej! Następnie dziedziczność— byłby to temat dla Zoli.

Otóż dzieci rodziny L. Jedno dziwaczne, drugie słabego umysłu, trzecie umiera z opilstwa. Może i syn radcy jest tylko ofiarą swoich rodziców. A nasz Karolek, strach pomyśleć, nasze dziecię, czyż nie jest ono dzieckiem rodziców nerwowych?...

W tej chwili wszedł zecer — rzuciłem mu zeszyt i głęboko odetchnąłem.

Dwunasta godzina! Obiecałem dziś wcześniej wrócić do domu, miałem rozmaite jeszcze interesy do załatwienia, a przy tem to dzień, w którym stale przychodzi nasz lekarz domowy. Prędko załatwiłem, co mi pozostawało i za pół godziny spieszyłem ku domowi.

— Pani chora — temi słowy i dziwnym wyrazem twarzy przyjęła mnie pokojówka, co mnie żywo zaniepokoiło. Wbiegłem do pokoju mojej żony, zapytując, co jej jest. Leżała skurczona na szezlągu, policzki miała niezmiernie blade, a śliczne alabastrowe rączki drżały, gdym ich dotknął.

— Strasznie się zirytowałam — wyrzekła drżącym głosem. Ta Antosia..

Antosia była naszą młodszą, przewidywałem, że coś zaszło. Te sługi! Czyż one jedynie są po to, by męczyć nasze żony? A my biedni mężowie często nie wiemy sami, czy zrzucić służbę ze schodów, czy zawiesić żonom kłódki na ustach? A więc znowu Antosia, ta nieznośna Antosia!

— Odpraw ją nareszcie — wyrzekłem.

— Uczyniłam już to — odpowiedziała żona. Ta rozpustnica, chciałam jej oczy wyłupić. Ukradła... ukradła!.. Niewdzięczna istota!..

— Uspokój się Lizo, co ukradła?

— Moją broszkę, moją broszkę z niezapominajkami.

Przy tych słowach, zdawało mi się, że piorun we mnie uderzy. Przypomniałem sobie pannę Łącyę Ramzon, jej ponętną twarzyczkę, jasną główkę, widziałem przed sobą tę broszkę z niezapominajkami... Lecz jakiż tu mógł zachodzić związek?.. Nie, nie...

— Kiedy ona ukradła tę broszkę? — zapytałem.

— Dziś zrana leżała jeszcze na mojem biurku, za godzinę znikła. Wiesz przecie, że niedawno schwyciłam Antosię, gdy kradła cukier.

— No to jeszcze nic tak złego, ale ta broszka — czyś ją u niej znalazła?

— Nie, ta łotrzyca zaparła się.

— Czyś ją wypędziła?

— Tak była zuchwałą, tak mnie rozdrażniła, że...

— Że...?

— Że zapomniałam się i...

— I...?

— I wypoliczkowałam ją!

Przestraszyłem się.

— Nie powinnaś była tego uczynić.

— Nie wiedziałam, co się ze mną dzieje, zapomniałam się.

— A Antosia?

— Zagroziła policyą i uciekła.

(D. n.)

BADANIA NAUKOWE.

Karol Marks, *Pisma pomniejsze* *). Paryż, 1886.

Nie potrzebujemy rozwodzić się nad stanowiskiem Marksa, czy to na polu naukowem, czy wreszcie wśród zapasów społecznych chwili obecnej. Można nie zgadzać się z założeniami i wywodami jego, ale niepodobna ich zapoznawać. Wszelako pomimo rozgłosu, który otacza imię tego badacza, znajomość poglądów jego jest bardzo słaba. Zarzucają mu często właśnie to, przeciw czemu sam walczył z całą potęgą swej wiedzy i namiętności. Czynią to zarówno czciciele, jak i przeciwnicy. Dość wskazać Michajłowskiego, znanego krytyka rosyjskiego, który w jednej ze swych prac usiłuje oczyścić Marksa od zarzutów ekonomisty Żukowskiego — ale w ten sposób, iż autor *Kapitału* zauważył, że obrona ta sprawia mu wprawdzie wiele zaszczytu, ale też i sporo wstydu. Korzystając z ukazania się w polskim przekładzie *Pism pomniejszych*, zatrzymamy się nieco nad historyozoficznemi ideami ich autora.

W dziełku Marksa: *Nędza filozofii* znajdujemy ustęp tego rodzaju: „Proudhon zrozumiał, że ludzie wyrabiają sukno, płótno, materye jedwabne, przy pewnych stosunkach produkcyi, ale nie spostrzegł, że i stosunki społeczne są tak dobrze jak płótno wytworem ludzkim. Są one ściśle związane z siłami wytwórczemi. Ludzie, zdobywając nowe siły wytwórcze, zmieniają sposób produkcyi, a z przeobrażeniem jego przekształcają swe stosunki społeczne. Ciż sami ludzie, którzy ustanowili stosunki społeczne odpowiednio do materyalnego sposobu produkcyi, zgodnie z nimi tworzą także zasady, idee, kategorye. Te idee i kategorye są zatem tak samo nietrwałe, jak stosunki w nich wypowiedziane; są to produkty przechodnie, historyczne.“ W tym ustępie streszczają się wszystkie poglądy historyozoficzne autora *Kapitału*, bez zrozumienia których napróżnobyśmy poszukiwali klucza do jego działalności politycznej i naukowej. Ludzkość wciąż kroczy naprzód, jej rozwój polega na bezustannym wzroście wydajności pracy, czyli postępie *sił wytwórczych*. Te ostatnie pociągają za sobą każdorazowo wiadomej postaci produkcyę i wymianę; odpowiednio do tego całokształt stosunków społecznych odlewa się w stosowne formy realne i wyłania odnośne idee. Przeobrażenie układu społecznego i ukazanie się nowych idej towarzyszy przeto zapanowaniu nowych sił wytwórczych. Ale przebieg tego nieustającego rozwoju nie odbywa się w sposób harmonijny; przeciwnie, podąża drogą antagonizmów i starć wzajemnych. Albowiem narzędzia pracy, będące właśnie ucieleśnieniem sił wytwórczych, znajdują się w posiadaniu prywatnem; zastosowanie nowych nie zawisło od dobrej woli jednostek, lecz od rozporządzania wiadomymi środkami materyalnymi, odbywa się zatem tylko przy obecności ich (jedynie posiadający dostateczne fundusze, może np. kupić nowe odkrycie techniczne). Zaledwie niektórzy dochodzą do władania nowemi potęgami wytwórczemi i w ten sposób dawnemu przedstawiają nowy, wydajniejszy sposób produkcyi, dotychczasowym zaś stosunkom — inne ideały układu społecznego. Przedstawiciele porządku istniejącego, zagrożeni w swem istnieniu materyalnem, usiłują powściągnąć ich roszczenia. Walka wybucha wśród społeczeństwa. Tak w wiekach XII—XVI na ówczesnym gruncie historycznym, w punktach niektórych, zaczynają się skupiać siły wytwórcze, w porównaniu z istniejącemi przedstawiające potężniejsze środki ku ujarzmieniu przyrody. Wywiązują stosowny sposób produkcyi: rzemieślniczy, oraz odpowiednią formę układu społecznego: rzeczpospolitę miejską, opartą na organizacyi cechowej z właściwemi ustawami prawnemi. Rozwój kroczy w bezustannej walce z baronami i staromieszczaństw.m rolnem, reprezentującymi dawne siły i kategorye ekonomiczne. Wreszcie nowy porządek rzeczy, gdy warunki materyalne jego istnienia zostały osiągnięte, zdobywa prawo obywatelstwa — powstaje ustrój cechowo-feodalny. Lecz wkrótce, dzięki szczelinom w ustawie prawnej takiego społeczeństwa, gromadzą się nowe potęgi wytwórcze, dla których niema miejsca w cechach i wśród pańszczyzny. Polegają na połączeniu kilku rzemiosł w jednem przedsiębiorstwie, na masowem zgromadzeniu robotników, na podziale rzemiosła według prostych czynności itd. Stary porządek usiłuje stłumić groźne mu swą wydajnością rękodzielnie; opierając się jednakże na antagonizmie wytwórcy względem spożywcy wewnątrz całego społeczeństwa, nie może tego uczynić, bo konsument patrzy, gdzie taniej. Nowa forma produkcyi wymaga zupełnej wolności we wszystkich dziedzinach życia ekonomicznego; sojuszników znajduje w uciskanych plebejuszach wiejskich, oraz wśród chłopstwa. Przedstawiciele istniejącego układu społecznego tłumią wyjawy ideologiczne nowych tendencyj, lecz w roli spożywców przykładają się poniekąd do wzmocnienia ich materyalnej podwaliny. Klasa, reprezentująca nowe siły wytwórcze, wzrasta, przyciąga na swą stronę uciskane interesy społeczne, wystawia nowe ideały sprawiedliwości społecznej, zaprzęga do swego rydwanu wszystkie umysły krytyczniejsze. Wreszcie warunki materyalne jej zapanowania dojrzewają; łamie naówczas — gwałtownie lub pokojowo — stary układ społeczny i wciela inny, odpowiedni swym stosunkom produkcyi. W polityce jest to państwo konstytucyjne, w prawie — zupełna równość, w ekonomii — wolność zarobkowania i wymiany. Atoli przynosi ona ze sobą na świat żywioły rozkładu. Odziedzicza po dawnym porządku tłumy, nieposiadające żadnej własności, i wzmaga je wskutek samych warunków produkcyi. Wobec konkurencyi przedsiębiorstwo istnieć może tylko przy ciągłych ulepszeniach technicznych, co znowu zależy od kapitału prowadzącego interes. Wprawdzie kredyt zastępuje własne środki — lecz tylko po to, ażeby w chwili przesileń, nieodłącznych od tegoczesnej produkcyi, tem snadniej doprowadzić korzystającego do ruiny. Przemysłześrodkowywa się w coraz potężniejszych rozmiarach i — w coraz mniejszej ilości rąk. Coraz liczniejsze masy muszą utrzymywać się jedynie ze sprzedaży swej pracy i w coraz większej niepewności jutra. Rozwój społeczny, wskutek samych warunków materyalnych, jednoczy te tłumy w organizacyę klasową. Najmici coraz bardziej uświadamiają sobie istotę społeczeństwa, wstępują w walkę polityczną jako klasa odrębna. Kiedy wreszcie możliwość materyalna wyzwolenia dojrzeje, organizują produkcyę i społeczeństwo w sposób odpowiedni, na zasadzie zbiorowego władania narzędziami pracy i świadomego regulowania produkcyi.

Tak, zdaniem Marksa, szedł rozwój społeczeństw zachodnio-europejskich. Idee, krążące w społeczeństwie, postęp wiedzy, zawartość przepisów moralności i kodeksów prawa, stosunki rodzinne i polityczne, wreszcie cały układ społeczny — kształtują się odpowiednio do materyalnych warunków produkcyi i wymiany. Sam zaś rozwój społeczny następuje wskutek rozwoju nowych sił wytwórczych. Idee grają rolę drugorzędną, powstają jako odbicie już istniejących pierwiastków rzeczowych i tylko wtedy mają jakieś widoki powodzenia, gdy stosunki społeczne dojrzeją do urzeczywistnienia ich wymagań. Z tego stanowiska w *Nędzy filozofii* uderza Marks na Proudhona, który w dziele swem *Filozofia nędzy* rozprawia o przeobrażeniu społeczeństwa. Ocena wypadła surowo, lecz sprawiedliwie. Krytyk francuski wydaje na wszystkich ekonomistów wyrok nieuctwa i płytkości, ślizgania się po powierzchni i niezagłębienia dalej; krytyk niemiecki zauważa, że takie łajanie bywa nietrudnem dla tego, kto nie zadał sobie pracy poduczenia się choć troszkę. Co tamten ogłasza za pomysł genialny, zrodzony w jego głowie i mający przeinaczyć społeczność, to, według ostatniego, rozwinęli już pełniej i jaśniej tak niesłusznie potępieni ekonomiści, jako podstawę istniejącego stanu rzeczy. „Znajomość Proudhona ekonomii politycznej, której krytykę obrał sobie za zadanie, jest zaiste powierzchowną, a miejscami nawet wprost żakowską... Doszedł on do tego, że Bastiat go rąbie; sam zaś wybucha jedynie krzykiem, gdy przeciwnik zbyt dojmie go do żywego.“ Idźmy dalej. Dla autora *Kapitału* idee są tylko odzwierciedleniem rzeczywistości, bezsilnem dla przeinaczenia społeczeństwa, skoro nie rozwinęły się stosowne warunki rzeczowe. Są one względnemi i czasowemi kategoryami, noszącemi na sobie piętno historyczne swego poczęcia. Rzecz ma się zgoła odmiennie dla Proudhona; są to kategorye bezwzględne, niezależne od warunków realnych, będących jedynie wcieleniem „nieosobowego rozumu ludzkości.“ Ich powstanie nie potrzebuje liczyć się z podścieliskiem materyalnem, urzeczywistnienie — z czemkolwiek, krom umysłów ludzkich. Idea jest wszechwładną *twórczynią* stosunków społecznych. Te dwa różne stanowiska teoretyczne prowadzą do zgoła odmiennych programów praktycznych. Proudhon skupia się w sobie, ażeby z głębi swego umysłu wykrzesać ideały bezwzględne pożycia społecznego i następnie przykrajać do nich rzeczywistość: na niedomagania społeczne szuka on „logicznego“ rozwiązania, wszystko, co czyni, ma u niego łączność z logiką i etyką. W każdem zjawisku społecznem widzi „złą“ i „dobrą“ stronę, stawia więc swej logice zadanie rozwiązania tej „sprzeczności“ — usunięcie „złego“ z każdej kategoryi ekonomicznej, zachowanie zaś jej stron dodatnich. Otrzymana stąd formułka *syntetyczna* stanowi ostatni cel teoretycznych jego zaciekań, w niej streszcza się dlań alfa i omega programu społecznego. Dla Marksa idee, w ten sposób wysnute z głębi własnej istoty, to tylko nieświadome swego powstania sformułowanie tych lub owych stron rzeczywistości; roszczenia wszystkie do bezwzględności, to dowód jedynie dogmatyczności „odkrywcy.“ Wyszukiwanie formułek syntetycznych stanowi czystą stratę czasu, bo rozwój życia nie pyta się o żadne takie wzory. Idzie ono żywiołowo, dziergając wciąż nowe niedomagania i samo z siebie dostarczając im rozwikłań. „Syntetyk“ w rodzaju Proudhona w swych „sprawiedliwościach społecznych“ czerpie z pierwiastków przedmiotowych, ale życie wciąż zmienia je, nie pytając o wzory odkrywców. Gdyby żył w wieku XV, postawiłby „zadanie“: znieść „złe“ strony ówczesne (przywileje, poddaństwo), zachować „dobre“ (patryarchalność, korporacye). Ze swą formułką syntetyczną pozostałby na miejscu, życie zaś poszłoby właściwą drogą, unicestwiając i te i tamte i wcielając się w kapitalistyczny porządek rzeczy. Na dzisiaj stawia on jako takie słówko magiczne „ukonstytuowaną“ wartość (tj. mierzoną czasem roboczym), Marks dowiódł, że jest już wcielona w życie i stanowi podstawę tegoczesnej wymiany. W oczach tego ostatniego jedynie racyonalnem postępowaniem jest porzucenie pogoni za wyszukiwaniem formułek i syntez, zaprzestanie stawiania zadań i lepienia rozwiązań, ale zwrócenie się do badań nad tem, na czem polega, jak się rozwija i dokąd podąża istniejący porządek rzeczy. „W miarę jak historya postępuje, utopiści

*) Znajdujemy tu: „O wolnym handlu“ (1849), „Praca najemna i kapitał“ (1849), „Proudhon“ (1865), „Nędza filozofii“ (1847) i list otwarty do Michajłowskiego. Z mniejszych prac pozostały jeszcze: „Kwestya żydowska,“ „Krytyka Hegla“ i szereg politycznych pamfletów.

nie potrzebują wyczekiwać teoryi w swym umyśle, powinni tylko zdać sobie sprawę z tego, co się dzieje przed ich oczami i stać się wyrazicielami rzeczywistości.“

(D. n.)

L. Krzywicki.

LITERATURA I SZTUKA.

Z ZACHODU.

X.

Trójca ideałów wobec rzeczywistości.

Szalony byłby, ktoby chciał burzyć odrazu i z hukiem ukochane światu bałwanki; ale pobielić i umuskać stare, ale nieznacznie rozebrać im członki i zastąpić nowymi — to się czyniło, to się zawsze czynić musi, chcąc przemycić w mózgi ten nienawistny towar, który się zowie postępem.

Przedstawiło się, jak ideały nasze powiązane parami, uniosły, niby spłoszone konie, myśl filozoficzną na bezdroża; bo też zapędzono je, gdzie się widok ziemi kończy, a koniska — jak wiadomo — lubią czuć grunt pod nogami i po powietrznych mostach stąpać się boją. Spróbujmy ugłaskać je, sprowadziwszy tam, skąd wyszły, w sferę ludzką; zaprzęgnijmy do ciężkiego wozu człowieczych potrzeb, a nie odezwą się już i pójdą pod lejcem, jak żąda doczesna ludzka wygoda. Tak stąpała w istocie nieodbiegła daleko od swego źródła estetyka Platońska, czyniąc sztukę niewolnicą moralności i wychowania; tak Arystotelesowa teorya „czyszczenia namiętności.“ Z pożytków ich wykreślona była wprawdzie i niesłusznie czysta przyjemność. Zasada: pouczać i bawić—zamieniała przez długi czas sztukę w kapłankę; lepsze to jednak było, niż niemiecki dogmat: sztuka dla sztuki, równie jak nieludzka mara: cnota dla cnoty, posiadająca powabów wiele, lecz kochanków mało. Obie zwalone już chyba angielskim utylitaryzmem; toż na ich grobie wyryje się napis: tu spoczywają niepłodne anielice. Podejmijmy tę zasadę utylitaryzmu tak ludzką, tak przykłonną, tak zbawienną. Nie mają logicznej wartości zdania o koniecznej zgodzie dobra z prawdą i pięknem; każde jednak zdanie absolutne, niezawierające przeciwieństwa w założeniu, może według praw logiki otrzymać cechę rzetelności, skoro zawarujemy je lub ograniczymy. Ułóżmy więc mechanicznie takie sądy:

Dobre są, jeżeli użyteczne; *piękne* są, jeżeli użyteczne:

Prawda i złudzenie, piękno i brzydota, dobro i zło.

Pozostałby do ułożenia szereg trzeci, ale że o *prawdzie*, tj. o rzeczywistem istnieniu owych trzech pojęć dziś się już nie wątpi, odpada on sam przez się, pozostawiając nam tym sposobem dwie grupy: jedną, odnoszącą się do świata etycznego, drugą — do świata sztuki. Niektóre z tych sądów wydałyby się już na pierwszy rzut oka potwornymi, gdybyśmy nie pospieszyli oznaczyć pojęcia i granic użyteczności. Użyteczność — jak wiadomo — to warunek wyzyskania środków rzeczywistości na umilenie, czy ulżenie niepojętego, a przez to bolesnego bytu, już to podstawieniem na miejscu ciemnego celu wymarzonych dążeń osobistego i społecznego wyzwolenia, powszechnej miłości, pokoju i dobra; już to podsunięciem gorącego badania zawsze nowych, więc nigdy niewyczerpanych zjawisk świata zewnętrznego; już to wyniesieniem naturalnych uczuć ludzkości do wysokości nadnaturalnej; harmonią barw, kształtów i dźwięków na uszlachetnienie i ukojenie namiętności i wstrząśnień wewnętrznych. Składają się na ten cel: myśl etyczna, wiedza i sztuka. Granice użyteczności zakreślone są równie dobitnie; użyteczność osobista zawarowana użytecznością społeczną; jeżeli pierwsza bierze górę nad drugą, zwie się to egoizmem i grzechem; jeżeli obie idą z sobą w parze, zowie się to obowiązkiem, jeżeli pierwsza poddana jest drugiej, zwie się to cnotą.

Czy po tem wszystkiem dadzą nam sądy owe taką rękojmię, aby na niej można było oprzeć społeczną pracę, którą się pniemy ku szczęściu? Są one znowu tylko dogmatami; lecz czy nie lepsza wiara w dogmat taki, który obiecuje bezpośrednie korzyści, niż w ów, który celowi i skutkom nie zakłada mety?... Uwierzmy, a obaczymy, jak w ich łagodnem świetle uspokoją się odrazu wątpienia, rozjaśnią błędne drogi, zniknie groza nieskończoności wiedzy, niepochwytności sztuki; jak odpadną myślom i dłoniom ludzkim bezcelowe mozoły. Prawda, dobro, piękno nie znikną, jeno staną się bardziej gospodarskie, przestaną szafować promieniami, by się za rychło nie zużyć. Egzystencya ludzka mimo to nie upodli się, dobro będzie zawsze szlachetne, piękno porywające, prawda szanowana. Nie stawiając ich jednak z góry ku nieczyjemu użytkowi, sprawdźmy przedewszystkiem ich logiczną zawartość.

Dobre są, jeżeli użyteczne, prawda i złudzenie, piękno i brzydota, dobro i zło.

Choć niektóre z tych sądów zdają się paradoksalne, usprawiedliwić chyba dadzą się wszystkie. Za sprawdzeniem ich rzetelności rozwiązuje się tysiące zagadnień, od zdawkowych przepisów codziennego życia aż do najważniejszych problemów etycznych. Ileż to razy np. roztrząsano u konfesyonału pytanie: czy kłamstwo jest zawsze grzechem, i nawzajem, czy nie jest czasem grzechem wyznanie prawdy, która winna być zamilczaną? Oto w sądzie powyższym znajdujemy na to odpowiedź stanowczą i — niech co chcą mówią moraliści o delikatnem sumieniu—praktyczną. Nie wymkną się jego logicznej ścisłości najjaskrawsze na pozór kontrasty. Obserwując wartość piękna, dochodzimy częstokroć do spostrzeżenia, że strona jego moralna jest zła, więc nieużyteczna, albo znowu nieużyteczna, więc zła. Zważając jednak stronę fizyczną piękna, musimy przyznać, że bawiąc oko doskonałością form, odpowiada samo przez się warunkom użyteczności. Spojrzmy np. na jadowity owoc lub kwiat, na Lukrecyę Borgia, albo lady Macbeth. Jak pogodzić teraz sprzeczności? Sąd nasz wytrzymuje próbę. W pojęciu dobra oddziela się tylo części, ile się go mieści w pojęciu użyteczności owych poszczególnych danych; jak tu, przyłącza go się do strony fizycznej — i rzetelność sądu nie ponosi szwanku.

Skaczą jednak do oczu straszniejsze zagadki, nierozstrzygnione od wieków. Jeżeli *prawdę* pojmiemy jako *rzeczywistość*, otrzymamy pytanie, czy jest dobrą rzeczywistość, przynosząca krzywdę nie pożytek i jakie wtedy człowiek wobec niej posiada prawa? Odpowiadano: wolność samobójstwa. Rzeczywistość nie przynosi mi pożytku, odrzucam ją, a z czynu tego robię nawet pojęcie cnoty, która jest nie czem innem, jeno poświęceniem swego ja na korzyść cudzą. Korzyść odnosi społeczeństwo, a względnie jednostka, której dostaje się moje miejsce, która przeznaczonem mi powietrzem oddycha swobodniej, nasyca się lepiej przeznaczonym mi chlebem. Dotąd według zdania, które sam stworzyłem, w które wierzę, mam słuszność. Ale nieubłagana logika wskazuje mi zdanie następne: zło jest dobre, jeżeli użyteczne. Że samobójstwo jest złem, czuję; że jest użyteczne dla mnie, jestem pewny; ale czyż nie zastrzega granic pożytku mego pożytek społeczny? Gdzie zaś pewność, że społeczeństwo nie może już po mnie spodziewać się niczego? Wypadki takie jednak istnieją... a wtedy, kto z nas z ręką na sercu zaklnie się, że zrozpaczonego nie rozgrzeszy?

Ta zasada użyteczności, przystosowana do kombinacyj dalszych, wydaje — wyznać trzeba — twierdzenia okrutne, jak to, że jest złem dobro nieużyteczne. Gdyby postawione być miało jako prawo dłonią rubasznej przyszłości, odezwałby się z podeń bunt jednostki, która domaga się swobody; ale czyż społeczeństwo krnąbrnej swawoli karcić nie ma prawa? I oto w grozie takiej przestrogi lub pod przemocą takiego postanowienia poruszają się wszystkie dłonie, dźwigają bezczynne siły, przestaje zwać się świętością martwota i budystyczny zachwyt nieba — i czuje ulgę ziemia, nie słysząc westchnień, które po niej jęczą....

Potem przestrasza nas ta zuchwała myśl, każąca, że jest dobrem użyteczne zło. Oburza się w nas uczucie litości; nim się zawahamy, sprawdzimy: jest to fatalność stworzenia, że nie istnieje ani absolutne dobro, ani absolutne zło. Zdaje się, jakoby istniała w świecie niezmienna ilość materyału, który daje szczęście, materyał zaś ten wszystkim nie wystarczy; kto chce posiąść szczęście, musi go uszczuplić drugiemu. Tam, gdzie szczęście jest bronią walki o byt, sąd ten nie ulega wątpliwości. Bogactwo niesie dobro tam, gdzie zleci, odbiera je, skąd ucieka. „Własność jest kradzieżą, dobroczynność jest krzywdą“ — oto konsekwencye, jakie z przeświadczenia tego wyknąć musiały; ludzki egoizm kazał je nazwać zbrodniami i takiemi muszą je nazwać wszyscy, co chcą żyć. Już tak jest.

Więc dobrem stają się pomory i wojny, bo przerzedziwszy ludność, udzielają reszcie więcej płodów matki ziemi, w dwójnasób, bo nakarmiona tysiącami ciał, pokrzepiła się na płodność większą. Chorem ciałem żywi się robactwo, na zgniliźnie wyrastają kwiaty; aby powstało coś, coś musi zginąć. A dobro moralne? Szczęście jest uczuciem, nie materyą — to prawda; napięcie jego u różnych jest różne: jeden uczuwa rozkosz z widoku gwiazd, które w drugim budzą bolesne wspomnienie; ale takich czystych uczuć szczęścia, któreby nie oparły się na owym przechodzie materyi, liczba jest ograniczona i stoją one po za procesem życiowym; gdzie na poparcie indywidualnego bytu zaczyna się przerództwo i przechód materyi, tam rozkoszy musi odpowiadać cierpienie. Czem się nam zjawią w tem świetle duma, sława, natchnienie, miłość? Duma i sława to czynniki i przejawy walki o byt: dumy nie można pojąć bez pogardy, sławy bez zawiści, wielkości bez poniżenia; już sam termin: pojęcie względne mówi o wzmaganiu się jednych niekorzyścią drugich. Natchnienie jest rozkoszą, ale co składa się na tę rozkosz? Gwałtowne wstrząśnienie organizmu, które go niszczy prędzej, niżby się zniszczył, zostając w równowadze. Wytwarza się w nim bowiem z powiększoną szybkością myśl; gdybym umiał dowieść, ważyłbym się na hipotezę, że myśl jest materyą. Miłość! Niedarmo siostrą śmierci zwą ją poeci. Kto nie boli, nie kocha, bo miłość to walka dwu istnień, z których jedno chce owładnąć drugiem, albo znów tak się mu poddać, iżby zginęło w niem z bytem własnym. A kiedy śród zgodnego bicia dwojga serc dwa ciała spoją się w jedno, czemże jest znowu rozkosz, jeśli nie niejasnem uczuciem bólu, który sprawiać musi odrywanie się od żywego ciała cząstek żywych? Natura zagłusza zmysły, aby się na nim nie poznały; potrzeba jej zaś uszczuplenia dwu jestestw, aby się z nich złożyło nowe; czyż można pojąć poczęcie inaczej?..

Nie przestaje jednak dobrą być rozkosz, choć fatalnie wyrasta na złem — i sąd nasz w zasadzie okazuje się prawdziwym; aby otrzymał wartość praktyczną, potrzeba znowu zawarować użyteczność jednostki pożytkiem społecznym. Przewidziało to prawodawstwo. Jeżeli ocalenie życia człowieka zagrzebanego w kopalni ma narazić życie dwu, prawo się cofa, zostawiając pole już tylko poświęceniu; a poświęcenie, które jest uczuciem rozkoszy, daje szlachetnym prawo szafowania życiem, jeżeli go strzeże nic każe obowiązek wyższy; dobro to zmieniło-

by się na złe, gdyby stanęło naprzekór uczuciu użyteczności dla rodziny lub kraju.

A teraz przystąpmy do drugiej grupy naszych sądów:

Piękne są, jeżeli użyteczne: prawda i złudzenie, piękno i brzydota, dobro i zło. W tej absolutnej formie byłyby one niejasne; stworzyliśmy je jednak dla oparcia na nich zasad sztuki — i oto, co w nich czytamy:

Nie tworzy dzieł sztuki rzekomy realizm, zadawalniający się odtworzeniem natury, a nieuderzający przyjemnie ni uczucia, ni zmysłów — przykładem spółczesne malarstwo niemieckie; romantyzm uprawniony jest o tyle, o ile nienaturalnością nie przynosi szkody jednostce, ni ogółowi, wykrzywiając w nich pojęcia prawdy: dozwolony jest, póki bawi, ale od pouczania mu zasię, bo może pouczyć fałszywie.

Nie są odpowiedniemi na dzieła sztuki piękno i dobro, niepośiadające nic, prócz formy; z subtelnem tem prawem należy obchodzić się ostrożnie, bo zasadzie użyteczności w sztuce może czynić zadość sama forma, „bawiąc zmysły“ — patrz szkołę impresyonistów. Przesada tej swobody jest zgubna, bo prowadzi do bezcelowości szkół poetyckiej i malarskiej angielskich rafaelistów. Między poematami Rosettiego są takie, których wysłuchawszy, myśl waha się jakby niepewna siebie, nie umiejąc pojąć uczucia, które wywołały; są one jak portret kobiety pięknej, którejby artysta zapomniał dać oczu; nie wywoła on uczucia odrazy, ale niechęci, powstającej zawsze, kiedy oglądamy rzecz powszednią naraz w kształcie innym, niż nas oglądać ją pouczyło przyzwyczajenie. Nawzajem brzydota i zło są uprawnione w sztuce raz dla wydobycia kontrastu, podnoszącego piękno, drugi raz przeto, że istnieją w naturze i że piękną jest każda prawda, odpowiadająca warunkom, któreśmy wymieniali powyżej.

Wysnute tak z jedynie zbawiennej zasady utylitaryzmu sądy nasze rozstrzygają wszystkie kolizye trójcy ideałów; nie wyparły dziś jeszcze przesądów starej etyki i estetyki, ale je wyprą; dość nam na teraz, jeżeli przedstawiły się w pierwszej grupie godnymi wiary, w drugiej godnymi zaufania.

Egrot.

Z NIEMIEC.

Drezno, marzec, 1887.

Genewa i Berlin. — Hartmann o stronnictwach sejmu niemieckiego. — Obawa Francyi jako zmora, dusząca niemców. — Przekład powieści E. Orzeszkowej. — Słownik kaszubski G. Pobłockiego. — Br. Hirszbanda przekład poematu sanskryckiego. — Dzieje rusinów przez Kupczankę. — Wystawa ogrodnicza w Dreźnie.

Telegramy genewskie zgrzytem kosy śmiertelnej zmąciły niedawne uroczyści berlińskie, o których, ma się rozumieć, zachowamy tu wymowne milczenie; było to niespodziane a uroczyste *memento mori*, wysłane z powodu człowieka, którego żywot i praca były dla nas nieprzerwanem *memento vivere...*

Wybory do parlamentu niemieckiego należą już do przeszłości. Aby wynik ich sprowadzić na korzyść rządu, poruszano, jak już pisałem, wszelkie sprężyny i sprężynki; maszynista sprawił się gracko. Nie mało mu w tem dopomogło wywleczenie na wały ciężkiej artyleryi filozoficznej: chcę tu mówić o Tyrteuszu narodowo-liberalnym, panu Hartmanie, który, jak wiadomo, był ongi oficerem artyleryi pruskiej. Kazano mu napisać artykuł w duchu septenatu; napisał i do zwycięztwa dopomógł; ale nie oto mi tu chodzi, lecz o to, że w artykule owym odmalował po swojemu obecne usposobienie stronnictw niemieckich. Obraz ten jest zajmującym, o ile odzwierciedla pojęcia pewnych umysłów o chwili bieżącej, dlatego więc przypatrzymy się mu nieco bliżej.

Wiadomo, że Hartmann z filozofią swoją dawno już zaszedł na stanowisko, z którego dążenia liberalne wogóle, a niemieckich liberałów w szczególności wydają się mu „mrzonką“ i „doktryną.“ Stanem idealnym ludzkości dla niego jest państwo niemieckie z r. 1871, a twórcy jego — nieomylnymi geniuszami. Czy sąsiedzi niemców radzi są z tego, czy na tem cierpią, lub tracą, to dla niego jest sprawą najzupełniej obojętną. Również nie obchodzą go zgoła liczne stronnictwa w samych Niemczech, którym stan obecny wydaje się nieznośnym, albo też zapowiadającym groźne niebezpieczeństwa w przyszłości. Oczywiście tedy Boulanger w oczach jego jest „lekkomyślnym i ambitnym awanturnikiem“; Windthorst—„agentem welfów“; dążenia wolnomyślnych — „mrzonkami doktrynerów,“ a sami ci „doktrynerzy“ — „złym duchem młodego państwa niemieckiego.“

Wiadomem jest, powiada, czego pragną alzatczycy, duńczycy, welfowie i polacy w parlamencie: zwrotu Alzacyi i Lotaryngii francuzom, Szlezwigu duńczykom, przywrócenia królestwa hanowerskiego z dodatkiem Brunświku i wydania niemców w Prusiech zachodnich, Poznańskiem i na Szlązku na łup panowania polskiego, na wzór Czech; wszystkiego tego oczekują oni od zwycięztwa francuzów, starają się przeto takowe ułatwić, osłabiając rząd niemiecki wszelkimi sposobami, pod płaszczykiem wolności, samorządu i innych pięknie brzmiących haseł.

Demokraci socyalni, zdaniem Hartmanna, dążą do zniesienia państwa, rodziny, prawa dziedziczności, własności i do zamiany społeczeństwa na wielki dom poprawy, pod kuratelą demagogów.

Ultramontanie zmierzają do przywrócenia katolicyzmu w dawnych jego rozmiarach i formach, oraz do wskrzeszenia władzy Rzymu nad światem.

Postępowcy czyli tak zwani wolnomyślni wypisali na swym sztandarze hasło: parlamentaryzm; pragną oni monarchę sprowadzić do roli machiny, podpisującej wyroki większości. Nie mówią tego otwarcie, ale jawnem mimo to jest, że hasło ich brzmi: lepiej być francuzami pod rządem parlamentarnym, niż niemcami pod pseudo-konstytucyonalizmem Hohenzollernów. Narodowość jest w ich oczach niczem, gdy chodzi o wolność prawdziwą. Czy lewy brzeg Renu należy do Niemiec, czy do Francyi, o to mniejsza; wszak Francya posiada złotą wolność! Cóżby znaczyło, powiadają oni, gdybyśmy stracili prowincye polskie, byleby one tylko dostały rząd parlamentarny. A tak zwani demokraci stronnictwa ludowego otwarcie powiadają, iż przyłączając prowincye francuskie i duńskie, popełniono zbrodnię obrazy majestatu ludowego, bo nie spytano ludności, czy sobie tego życzyła.

Przeciwko temu stronnictwu Hartmann zdobywa się na najognistsze pociski i dowody. Lituje się nad Anglią, którą parlamentaryzm doprowadził do jęczenia pod jarzmem irlandzkiem: ubolewa nad Belgią, dźwigającą u szyi młyński kamień ultramontanizmu; Austryę zdecentralizowaną nazywa potworem politycznym, Francyę poczytuje za bezsilną, a drobne państwa o rządach parlamentarnych uważa za pocieszne karykatury — wszystko to dlatego, że tam wolność konstytucyjną wzięto za przewodniczkę.

Jedna tylko partya wychodzi cało z pod pióra filozofa od artyleryi, ma się rozumieć narodowo-liberalna; ona jedna wie, czego chce, jest patryotyczną i może zbawić ojczyznę.

Tak przemawia filozof pruski. Ciekawy to człowiek, a jeszcze ciekawsze czasy, które tego gatunku ludzi wysuwają na filozofów oficyalnych. Nie wiem, czy kiedy w przeszłości umiano tak naiwnie i bez ogródek łączyć w jednej osobie pozory myśliciela z charakterem agenta rządowego...

Pomimo różnice stronnicze, które uwydatniliśmy pod kątem widzenia pana Hartmanna, istnieje jednakże jeden wspólny mianownik u wszystkich partyj niemieckich, z wyjątkiem oczywiście nie-niemców, to jest polaków, alzatczyków i duńczyków; tym wspólnym mianownikiem, do którego głośno nikt się nie przyznaje, ale który jak zmora nie daje spać spokojnie żadnemu niemcowi, od ks. Bismarka, aż do najbiedniejszego pocztyliona, jest śmiertelny strach francuzów. Widmo odwetu Francyi, sprzymierzonej ze wschodnim sąsiadem Germanii, zatruwa życie niemca i żółcią mu zaprawia każdą chwilę szczęśliwszą. Nie pisze się tego i nie mówi głośno: ale na dnie sumienia i w rozmowach poufnych strach dostania się we dwa ognie stanowi od lat kilku główne tło myśli i działalności niemieckiej. Nie trzeba się dziwić przeto, że gdy kto umie trącić w porę i zręcznie w tę strunę, zrobi z niemcem, co zechce: dowodem ostatnie wybory.

Lepszy, spokojniejszy i bezstronny obraz stronnictw niemieckich skreślił niedawno w tymże tygodniku (*Gegenwart*, nr. 10) niejaki Sachtler; rozwiodłem się nad elukubracyą Hartmanna dlatego tylko, aby okazać dokąd zabrnął z metafizyką swoją osławiony polakożerca.

Z nowin bieżących jedną, miłą dla nas śpieszę się podzielić z czytelnikiem: śliczną powiastkę pani Orzeszkowej *Julianka* podał niedawno miesięcznik niemiecki *Nord und Süd* (zeszyt marcowy) w przekładzie A. Erlicha, dokonanym jakoby z upoważnienia autorki.

Tak mało o braciach naszych pomorskich, kaszubach, wiemy, że szersze nawet koła ogółu naszego zajęćby powinien *Słownik kaszubski*, świeżo w Chełmie ogłoszony przez księdza G. Pobłockiego. W obszernym wstępie autor przedstawia właściwości gwary kaszubskiej i niezbite składa dowody, że jest ona nie jakiemś po wymarłych połabianach ocalonym dyalektem, ale po prostu gwarą narzecza wielkopolskiego. Fonetykę jej wykłada autor zwięźle, ale umiejętnie i jasno, tak, iż ze wskazówek jego więcej się można nauczyć, niż ze wszystkich dotychczasowych o tem rozpraw. Słownik nader jest zajmujący; pokazuje on, jak ludek polski, oddzielony od jedności państwowej i literackiej z resztą narodu, rozwijał samodzielnie zasób słów swoich, poniekąd odmiennie, ale zawsze w duchu zasadniczych praw języka macierzystego. Oprócz słów kaszubskich, ks. Pobłocki dodał jeszcze nieco prowincyonalizmów chełmińskich i kociewskich.

Donoszą mi, że p. Bronisław Hirszband, warszawianin, pracujący od lat kilku nad sanskrytem w Wiedniu, przełożył z oryginału na język angielski utwór poety indyjskiego Kszemendry *Darpadalanam* czyli *Zniszczenie pychy*; tłomaczenie to ukaże się w *Indian Antiquary* w Bombaju. Jakżeby nam miłem było, gdybyśmy otrzymali jednoczesny przekład polski; byłby to pierwszy przykład tłomaczenia z sanskrytu na nasz język utworu, dotąd na żadną mowę europejską nieprzełożonego.

Czasopisma niemieckie ogłaszają ukazanie się *Historyi rusinów* w języku niemieckim, pióra p. Grzegorza Kupczanki. Znam imię jego z jednego tylko artykułu o rusinach bukowińskich, zamieszczonego niedawno w tygodniku *Ausland*. Artykuł był wcale zajmujący i pouczający; czy takiemi są *Dzieje*, nie umiem powiedzieć.

Drezno gotuje się w chwili obecnej do wystawy ogrodniczej, noszącej szumny tytuł *międzynarodowej;* odbędzie się ona w maju; budują teraz pałace z drzewa w parku tutejszym na przyjęcie okazów Flory i Pomony.

Jan Karłowicz.

LITERATURA POLSKA.

Dr Chmielowski Piotr: *Studya i szkice z dziejów literatury polskiej*, Serya I—II. Kraków, 1886; *Nasi powieściopisarze*, zarysy literackie. Kraków, 1887.

Niedawno zdawaliśmy tu sprawę z ostatnich monografij Chmielowskiego, dziś mamy do zapisania dwa nowe dzieła, wydane nakładem Żupańskiego. Niezwyczajna pracowitość i iście mrówcza pilność Cmielowskiego, który od lat osiemnastu nie wypuszcza pióra z ręki, występuje najwyraźniej w tym roku jego żniwa literackiego. Kto wie, ile tak sumienne i tak w głąb idące badania pochłaniają czasu, kto wie, jakiego natężenia sił i jakiej cierpliwości wymagają, ten zanim wypowie zdanie swe o nich, musi wpierw oddać należną cześć tej żmudnej pracy i wytrwałości, których tak rzadkie mamy przykłady w naszem społeczeństwie. A gdy dodamy do tego sprawiedliwość i sumienność w sądach o współczesnych, a spokój i wyrozumiałość w rozważaniu przeszłości, otrzymamy ledwie słabe wyobrażenie o etycznej stronie jego działalności, zasługującej na wielkie uznanie.

I naukowa strona „Studyów“ posiada wielką wagę. Nie widać w nich wprawdzie nadzwyczajnych zalet pióra i talentu—pod tym względem ustępuje on nawet wielu literatom i publicystom warszawskim—ale tyle prawdziwej erudycyi, tyle nowych zdobyczy, tyle i tak pewnych rezultatów nie wykazują żadne dotychczasowe prace literackie. Chmielowski gubi się czasem w natłoku szczegółów, nie zawsze umie zachować perspektywę w układzie, podejmuje nieraz przedmioty suche i zwietrzałe, a charakterystyce jego postaci brak czasem ognia i plastyki; mimo tych usterek jednak, wypływających z natury i temperamentu autora, są dzieła jego, oparte zawsze na źródłowych i samoistnych badaniach, poddawane gruntownej analizie krytycznej, pierwszorzędnem u nas zjawiskiem i źródłem, z którego długo jeszcze czerpać będzie nauka i publicystyka.

Nie potrzebujemy się rozwodzić nad każdą rozprawą, pomieszczoną w „Studyach i szkicach,“ ani streszczać z osobna każdej monografii „Naszych powieściopisarzów“; takie bowiem opisywanie tyle razy opisywanych rzeczy nie budzi szerszego zajęcia; chcemy tu tylko dla informacyi czytelników zaznaczyć z gruba zawartość tych dzieł, odznaczających się niezwykłem bogactwem i zajmujących samą rozmaitością. Na czele „Naszych powieściopisarzów“ stoi J. I. Kraszewski, którego pierwsze kroki, stawiane w beletrystyce, dokładnie tu określono i wymierzono. Po nim następuje zarys główniejszych postaci w powieściach autora *Wernyhory*, a dalej dwie obszerne i znakomite prace o naszych powieściopisarzach historycznych, o Rzewuskim i Kaczkowskim, z szczegółowem uwzględnieniem jego najnowszych powieści (*Abraham Kitaj*, *Teka Nieczui* i *Graf Rak*). Z trzech ostatnich studyów nad Zacharyasiewiczem, Jeżem i Sienkiewiczem, jest bezsprzecznie najlepsze i najpiękniejsze środkowe; twórca *Uskoków* oczekuje jeszcze swego biografa, ale pierwsze kontury przyszłej monografii rzucił swą wprawną ręką Chmielowski. Rozprawie o Sienkiewiczu brak organicznej całości, dają się z niej wydzielić trzy artykuły, pisane w różnych czasach; wreszcie tu, jak na kilku innych miejscach, nie liczy się autor zupełnie ze zdaniami innych krytyków.

Artykuł estetyczny i psychologiczny o „Artystach“ wprowadza nas do „Studyów i szkiców“ Chmielowskiego, z których charakterystykę biskupa warmińskiego należy do najlepszych w naszej literaturze. Do epoki odrodzenia odnoszą się „Ostatnie lata Kochanowskiego“ i studyum porównawcze o „Sobótkach“; mniejszego znaczenia jest zapomniany poemat Wacława Potockiego i epopea z czasów saskich. Pogląd na poezyę polską w pierwszej połowie XIX w. zawiera wiele bystrych spostrzeżeń; studyum o Brodzińskim rzuca też wiele światła na tę epokę ścierania się wyobrażeń klasycznych z romantycznemi. Kilka nowych szczegółów daje artykulik o baladach T. Zana; prace o Słowackim (w epoce Towiańszczyzny) i Zygmuncie Krasińskim osnute są na podstawie ich korespondencyj; całą seryę zamyka piękne, choć zawsze jeszcze idealistycznie zabarwione studyum o Bohdanie Zaleskim.

Wogólności cały ten zbiór literacki, chociaż to mozajka tylko, z drobnych złożona kamyków, otwiera szersze widnokręgi i pobudza do głębszego myślenia; dla badaczów zaś literatury, historyi i oświaty, bogata to skarbnica krytycznie uzasadnionych faktów i poglądów, dla czytającej publiczności lektura zajmująca, a zarazem wielce pożyteczna i pouczająca.

H. B.

KARTKI ESTETYCZNE.

XVII. Zapoznany.

W dniu 10 kwietnia 1787 roku umarł w Marsylii na suchoty młody polski „awanturnik.“

Dodajmy czemprędzej, że wyraz „awanturnik“ w słowniku XVIII wieku posiadał inne zgoła znaczenie, niż dzisiaj. Nie oznaczał on bynajmniej człowieka „wyprawiającego awantury,“ lecz tylko takiego, którego żywot obfitował w przygody niezwykłe.

Młodzieniec ów, zaledwie 32 lata liczący, jakkolwiek zaród śmierci oddawna już nosił w piersiach, nie przeczuwał jednak, że port marsylski stanie się dlań zarazem portem wieczności. Wrażenia zbierano w podróży zapisywał skrupulatnie do dużego, świeżo rozpoczętego zeszytu, którego wszystkie karty spodziewał się zapełnić. Mimo to, gdy śmierć skinęła nań kościstym palcem, szepcząc: „czas odejść,“ odłożył pióro spokojnie, bez trwogi i bez zdziwienia, i pozwolił prowadzić się sfinksowi temu z rezygnacyą, jeżeli nie chrześcianina, to przynajmniej — filozofa.

Młodzieniec umarł z pogodnym twarzy wyrazem — a obcy ludzie, co go przy śmierci otaczali i widzieli w nim jedynie wytwornego *incroyable'a*, punktualnego zarówno w płaceniu rachunków, jak w układaniu paragrafów testamentu, nie zgadli, że był on także — wielkim poetą.

Poeta ten nazywał się Tomasz Kajetan Węgierski.

Być niepoznanym zarówno przez dalekich jak przez najbliższych — taki był wyrok ciążącego nad nim przeznaczenia. Dziś, gdy w okrągłe stulecie po śmierci, pamięć jego wskrzeszając, chcemy nakreślić wierny wizerunek poety, musimy pracę tę rozpocząć przedewszystkiem od zmazania wszystkich dotychczasowych jego — karykatur.

Opinia potomnych załatwiła się krótko z Węgierskim. Pod popiersiem poety, wyrzuconem za próg polskiego parnasu, napisano: ateusz, libertyn, cynik — i rachunek z nim zamknięto.

Na szczęście, *stylus*, ktorym historya i krytyka wyroki swe kreślą, posiada dwa końce. Zbyt surowe sądy, ostrym końcem wydrapane, można tępym wygładzić. Utrzymuję to konieczną równowagę, na którą wszakże, jak widzimy, zbyt długo niekiedy czekać wypada.

Dla tłumu, który zwykł nagrodę nie domierzać, a potępienie przemierzać, Węgierski jest tylko autorem sprośnych piosenek, odczytywanych z uciechą w ukryciu, a publicznie piętnowanych wzgardą i oburzeniem.

Objaw ten nie dziwi. W pamięci tłumu zatrzymują się jedynie fakty najjaskrawsze. Przyjmuje on też bezkrytycznie hasło rzucone z góry; do sprawdzania zaś jego słuszności za ciężki jest i za głupi.

Dlaczego jednak fałszywą opinią krzywdzą poetę ludzie, mający wyobrażać sumienie narodu? Dlaczego wszyscy niemal historycy literatury odsądzają Węgierskiego nietylko od wartości literackiej, ale nawet od cnót obywatelskich? Dlaczego do chóru tego przyłącza się najpobłażliwszy z sędziów — Kraszewski?

Trzeba uwierzyć w przeznaczenie książek i ich twórców. Poezya Węgierskiego, z wyjątkiem *obscoenów*, w rękopisie krążących, nie były i nie są popularnemi. Jednych odstraszało od nich to, że zostały wciągnięte na indeks, innych — że je do miernot zaliczono...

Tymczasem, po odrzuceniu faunowej maski, zakrywającej rzeczywistą twarz poety, widzimy, iż jest ona piękną i szlachetną.

W piskliwym chórze pudrowanych Filonów naszego pseudoklasycyzmu może jeden tylko Węgierski odzywa się głosem męzkim i szczerym. Szczerość ta i energia wyróżniają go z pomiędzy wszystkich współczesnych. Muza jego nie chodzi w koronkowych żabotach i mankietach, ale jest filozoficznie surową, a niekiedy nawet, jakby rozmyślnie, prostacką.

Kto nie idzie razem z większością, ten ma większość przeciw sobie. Jedni ze współczesnych — odważniejsi — gromili Węgierskiego publicznie jako „młodzika,“ zbyt wiele sobie pozwalającego; inni, którzy przed satyryczną chłostą wierszy jego drżeli, usiłowali zabić go bronią nikczemnych— milczeniem.

I dlatego to o autorze „Organów“ tak głucho w zapiskach literackich z końca XVIII i początków bieżącego stulecia. Estreicher, najbardziej oczytany w materyale historycznym, notuje, że Kniażnin, Karpiński, Niemcewicz, Minasowicz, choć w pamiętnikach swych, listach itp. utrwalili pamięć każdego wydatniejszego faktu i imienia, pomijają Węgierskiego milczeniem. Milczy o nim Niemcewicz, wymieniający pisarzów swego czasu, nie wciągają go też do swych pamiętników: Wybicki i Michałowski. Ale co najbardziej mnie dziwi zarazem: Krasicki, którego talent i zasługi Węgierski cenił bardzo wysoko i któremu w pięknem przypisaniu „Organy“ swe poświęcił — nie pamięta jego imienia...

Czyż to już nie wyraźna fatalność?

Rozumie się, że prócz owej fatalności, działać tu musiały i pozytywne przyczyny. Odkryć ich nawet można niemało. Przedewszystkiem, poeta był młodym — najmłodszym z całego chóru. Rabinowie literatury po wszystkie czasy niechętnie i z nieufnością witali młodych. Następnie był twardym w karku i kłaniać się nie umiał. Wśród otoczenia swego, wybijającego pokłony to królowi, to magnatom, wyglądać musiał jak młody dębczak wśród naginanych wiatrem kłosów. Dalej jeszcze, nie padały nań promienie łaski monarszej. Kto wówczas tego blasku był pozbawiony, ten ginął bezwarunkowo w ciemnościach. Wreszcie, co najważniejsza, z młodzieńczym, nieobliczającym następstw zapałem, ciskał gromy satyr na głowy najwyższe w kraju, którym się zdało, że są nietykalnemi. A to prostą już drogą wiodło nietylko do niepopularności, ale także do... wieży marszałkowskiej.

Zemsta i świętoszkostwo mogą poczynić Węgierskiemu bardzo wiele zarzutów; nie skłamią wszakże, iż był „interesownym“ i dążył do zdobycia „karyery.“ Trudno wyobrazić sobie człowieka mniej praktycznego, jak ten zapaleniec, narażający sobie kolejno wszystkich, którzy byli szafarzami darów fortuny i łask swych dla ulubieńców nie szczędzili...

Odepchnięty przez współczesnych, bo szczerem słowem i miłością prawdy przera-

stający ich o całe stulecie, tem większe posiada prawa do naszego uznania i poklasku.

Zaprawdę, nie Trembecki, nie Krasicki, nie Naruszewicz nawet mogli byli w owej służalczej epoce takim śmiertelnym postrzałem ugodzić butę senatorską, jak to uczynił Węgierski w swej dzielnej satyrze „Na wjazd senatora." A cóż mówić dopiero o tej wspaniałej filipice, napisanej prozą, ale sięgającej nastrojem najwznioślejszych wyżyn poezyi, która nosi tytuł: „Uwagi w sprawie Węgierskiego z Wilczewskim." Namiętne słowa tego utworu płyną, skrząc się i paląc, jak lawa wulkaniczna, a kraterem, z którego się wylały, jest — serce poety. Dziwię się, że ta świetna karta, zarazem poetyczna, filozoficzna i obyczajowa, tak mało dotąd jest znaną i wspominaną. Chociaż tylko ze względu na wysokie zalety formy zamieszczać by ją należało wśród najpiękniejszych wzorów polszczyzny.

Z jaką siłą przemawia naprzykład poeta do pomiatających resztę narodu magnatów w tym ustępie swej mowy:

„Nie będę tu do was, mości panowie Wilczycy, mówił, jak filozof, jak przyjaciel narodu ludzkiego — bo ceny życia ludzi znać w stanie nie jesteście; nie będę mówił jak chrześcianin — bo rozumiecie powszechnie, że kilka dni przeposzczonych i kilka złotych na mszę danych, potrafią wam tej winy odpuszczenie otrzymać; ale jeśli znacie lub słyszeliście przynajmniej o wzajemnych obowiązkach obywateli, o ogniwach, które społeczność wiążą, o występkach, które ją mieszają, o karach, które aż nadto są niewczesne — uważcie sami: czy sprawiedliwa rzecz jest, ażeby itd. itd."

Nie przemawia tak płatny adwokat, ani mówca trybunowy, ważący każde słowo na szalach dyplomatycznego rozumu. Jest to język głębokiego, wewnętrznego przekonania; jest to język serca w najtkliwszych uczuciach zranionego; jest to język — prawdy i poezyi.

W wierszu, zatytułowanym: „Moja ekskuza," a zaczynającym się od słów: „Nie mam w ustach czułości, nie bzdurzę o cnocie," nakreślił Węgierski wyraźnymi rysami swój własny, duchowy wizerunek. W tym też wierszu zamieścił prześliczną bajkę, której filozofia po wszystkie podobno czasy będzie prawdziwą. Bajkę tę przytaczam w całości, zalecając i innym jej powtórzenie:

Raz król zwierząt, by swojej chimerze dogodził,
Tym chodem lazł na drzewo, jak po ziemi chodził;
Ale, gdy się daremnie przez cały czas biedził,
Spojrzy w górę—a ślimak na wierzchołku siedzi.
Na widok tak nikczemny złość go mocna bierze:
„Jak—pyta— wleźć tam mogło to tak podłe zwierzę?"
„Dziwię się—rzekł mu ślimak—żeś tego nie wiedział;
Kto się czołgać nie umie, nie będzie tu siedział!"

W ośmiu wierszach całe *savoir-vivre* dworaków i praktycznych!

Znienawidzony przez możnych, wielbiony przez towarzyszów pióra, cieszący się jedynie ojcowską pobłażliwością Trembeckiego, przemknął nasz poeta po chmurnym horyzoncie ostatnich lat zeszłego stulecia, jak meteor. Ślad jego drogi zniknął; nawet kierunek zatarł się w pamięci. Jest on w połowie przynajmniej postacią legendową, której dotychczasowe badania dostatecznie oświetlić nie mogły. Na takim gruncie pleni się ochotnie bajka; bajek też utworzono i wypisano o nim niemało...

Estreicher, z dowodami w ręku, zbija mnóstwo takich fantazyj, uchodzących dotąd za fakty. Dzięki przeprowadzonemu przez znakomitego bibliografa śledztwu, wiemy już dzisiaj, że Węgierski nie mógł dowcipkować na „obiadach czwartkowych," gdyż przy nich nie zasiadał; że nie zabawiał króla Stanisława wierszowanemi *impromptu*, gdyż król nie lubił go, a przynajmniej do siebie go nie dopuszczał; że w tak zwanym wyższym świecie stolicy nie zajmował stanowiska wydatnego, gdyż był tylko skromnym kancelistą w departamencie sprawiedliwości; że na balu u hetmanowej Ogińskiej nie wygrał w karty 10,000 dukatów, gdyż był za ubogim, żeby mógł do tak hazardownej gry należeć itp.

Rozwiewa to owe romantyczno-awanturnicze chmury, jakiemi dotąd wyobraźnia nasza postać poety osłaniała; wychodzi on jednak z pomiędzy nich o wiele piękniejszy, szlachetniejszy i wyższy.

Zbyt krótkie życie nie pozwoliło mu wypowiedzieć wszystkiego, co miał do powiedzenia; i w tym jednak tomie pieśni, od i listów, jaki pozostawił, odnaleźć można pięknie i szeroko nakreślone zarysy poetyckiego i obywatelskiego programu.

Umie on być szyderczym i poważnym, żartobliwym i patetycznym, pogodnym i burzliwym — a zawsze uczucie jego jest szczerem i zawsze trafną znajduje dla siebie formę.

Jak wspaniale naprzykład *patos* brzmi rytmem uroczystym w pierwszych wierszach „Obywatela prawego":

Czas nieszczęścia i hańby, przez podłość i zdrady
Pomnożonych wyrodków, prawie zdradził ślady
Cnych miłośników twoich, Polsko! W schyłku sławy
Zbyt zapomniałaś, co jest obywatel prawy...

A jaki znowu żar palącego gniewu tryska z wiersza „Fanatyzm," zaczynającego się od słów:

Krzyż w jednej ręce, żelazo ma w drugiej,
Zasłonił oczy, pozatykał uszy..:

Wieloma stronami swego talentu pokrewny jest nasz poeta Heinemu; byłoby też ze wszech miar ciekawem przeprowadzenie szczegółowej paraleli pomiędzy tymi dwoma poetami.

Wogólności, powiedzieć można o Węgierskim, że w plejadzie poetów stanisławowskich, jako artysta zajmuje miejsce poślednie, ale jako dojrzały myśliciel i odważny szermierz prawdy, jest jednym z pierwszych, a może — najpierwszym.

Wiktor Gomulicki.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Co to jest chemia? — Hygiena jako wszechwiedza. — Przystawki do głównego gmachu. — Piec pogrzebowy na wystawie hygienicznej. — Kradzież dozwolona i jej warunki. — Psałterz Dawidowy. — Restytucye i słaby wpływ konfesyonału. — Klika pytań dla *Przeglądu katolickiego*. — Mała przestroga. — Prawdopodobne uwagi Minosa. — Ukrzyżowani i zmartwychpowstający. — Święto geniuszu i wieprza.

Jeżeli zaczniemy długo rozmyślać nad tem, co to jest chemia, dojdziemy niezawodnie do wniosku, że jest to cała wiedza ludzka. Bo proszę wynaleźć we wszechświecie jakiekolwiek zjawisko, duchowe czy materyalne, któreby nie było wytworem procesów chemicznych? Mickiewicz stworzył *Pana Tadeusza*. Ale naprzód sam Mickiewicz był skupieniem wielu związków fizycznych, do tych związków wchodziło wiele pierwiastków, jego twórczość zależała od ich układu i ustosunkowania, dalej dla napisania poematu potrzebował również atramentu, papieru itd., słowem, i autor i jego dzieło, jest przedmiotem chemii. W ten sposób prawie każda nauka może zawładnąć całem polem poznania. Każda jednak nanacza sobie granice ściślejsze, gdyż inaczej nie doszłaby do żadnych wyników i błąkała się po bezdrożach. Niema wątpliwości, że słońce, las, woda, kwiaty, wywierają wpływ na zdrowie człowieka; zatem hygiena wkracza w dziedzinę astronomii, botaniki, mineralogii, a bez wielkiego trudu można dowieść, że, jak chemia, obejmuje ona także wszechwiedzę ludzką. Zadanie to, zdaje mi się, podjął i rozwiąże komitet wystawy hygienicznej, jeżeli dłużej potrwają jego obrady. Bo czego tam już nie włączono do hygieny! Po części jest to zadośćuczynienie naszemu zwyczajowi, który wszelkiej wystawie każe nadawać charakter powszechny. Rolnicza np. przyjmuje zarówno owce i bydło, jak pierniki i termometry, a to z bardzo prostej zasady, że ziemianin potrzebuje najrozmaitszych wyrobów i każda rzecz, obchodząca człowieka, nie jest dlań obcą. Jeżeli używa obuwia, to buty i trzewiki należą do rolnictwa. Tę samą logikę zobaczymy prawdopodobnie na wystawie hygienicznej. Od sposobu grzebania umarłych zależy niewątpliwie zdrowie ludzkie; a więc trzeba okazać w modelach bądź trumny, katafalki i groby szczelnie zamykane, bądź też piece do palenia zwłok. Po zaciętych sporach komitet postanowił wystawić całe *crematorium*. Niektórzy członkowie sprzeciwiali się temu pomysłowi ze względu na nieprzyjemne wrażenie dla widzów, ostatecznie jednak uchwalono. Pomijam tu kwestyę: czy grób z ciałem jest hygienicznie gorszym od urny z popiołami, ale zapytam: czego i kogo nauczą przybory kremacyjne? Zdaje mi się, że bliżsi jesteśmy małżeństw kontraktowych, niż palenia zwłok: ten więc rodzaj pogrzebów u nas nie może liczyć nawet na odległą przyszłość. Stają mu w poprzek drogi uczucia ogółu, wierzenia, tradycye — wszystko. Ale przypuściwszy, że on kiedyś wtargnie się do naszego życia, że przeto wiedza powinna przygotować umysły do tej chwili oddalonej; jaką lekcyę hygieny da publiczności widok pieca kremacyjnego? Co najwyżej objaśni, w jaki sposób, albo raczej w jakich przyrządach palone bywa ciało ludzkie. To znaczy, że po obejrzeniu tych przyrządów każdy będzie równie mądrym hygienicznie, jak był przedtem.

Nie chodzi mi o samo *crematorium*, które zresztą będzie dla ogółu naszego przedmiotem dość ciekawym, ale o to, że w mnóstwie niepotrzebnych oficynek wystawy zniknie jej korpus główny — hygiena. Uwaga widzów, rozproszona na dziedziny przyległe, prześliźnie się bez pożytku po właściwej; zamiast nauki poglądowej w pewnym kierunku określonym, wytworzymy pstrokaty obraz dla gapiowstwa i czczej ciekawości, zamiast wystawy specyalnej, urządzimy karykaturkę powszechnej i jeszcze raz nakarmimy swój dyletantyzm. Dobry wentylator, ławka szkolna, odzież — wszystkie przedmioty, dotyczące zdrowia bezpośrednio, z pewnością mniej zajmą ogół, niż popielnik pogrzebowy, przed którym gromadzić się będą tłumy chciwe mocnych podrażnień. Od lat kilku tak namiętnie i szybko urządzamy rozmaite wystawy, że przeladowywanie każdej zbytecznemi domieszkami nie ma nawet wymówki w potrzebie korzystania ze sposobności. Z drugiej zaś strony, jeżeli te popisy: rolnicze, przemysłowe, artystyczne, ogrodnicze, hygieniczne itp. mają być pouczające i wykazywać nasz dorobek lub plan idealny w pewnej sferze życia, nadawajmy im właściwy, oznaczony zakres i nie mnóżmy omnibusów, w które wszystko zabrać można.

Co czas pewien kronika złodziejska zbogaca się u nać nowym rozdziałem. Tak np. niedawno osobne w niej miejsce przyznano kradzieży parkanu. Wprawdzie zwyczaj lekką jedynie naganą karze kradzież panien, gołębi, kwiatów, psów i książek, ale od winowajców wymaga szlachetniejszych pobudek i niezbywania zdobyczy. Warunku tego nie dopełnił wielbiciel „Psałterza Dawidowego" (z XVI stulecia), który ściągnąwszy książkę Bibliotece Głównej, sprzedał antykwaryuszowi. Skutkiem tej nieformalności podejrzany o nią pomocnik kustosza oddany został pod sąd, który go, nie uznawszy świadectw i dowodów za przekonywające, od zarzutu uwolnił. W każdym razie kronika zyskała nowy rozdział: „białe kruki." Nie sądzę, ażeby on był tak obfitym, jak inne, bo chociaż „białego kruka"

sprzedać można za 15 rs. (wart był 150), ale ptactwa tego niewiele, a każda sztuka znana i znaczona. Tydzień też wielkanocny, w którym przy spowiedzi skruszeni grzesznicy najliczniej zwracają łupy, nie przedstawił ani jednego wypadku z tej kategoryi, ozdobionej „Psałterzem Dawidowym.“

Dzienniki, zapisujące starannie każdy objaw restytucyi, mają taką minę, jak gdyby dumnie pokazywały światu: widzicie, co sprawia konfesyonał! A mnie go żal serdecznie. Bo pięć — no bądźmy szczodrzy — dziesięć „restytucyj“ na rok wobec tysięców kradzieży — to plon pognębiający, to dowód bezsilności konfesyonału. Usuwając na bok podstawę tej instytucyi, zdawałoby się teoretycznie, że ona posiada u nas moc nad sumieniem wiernych daleko większą, niż wykazują rezultaty. Niewątpliwie wpływ ten, zwłaszcza w miastach, osłabiają sami księża, których więcej zajmuje dewocka strona grzeszników, niż moralna. Często z ust bogobojnych nawet słyszymy skargi na spowiedników, posuwających za daleko swą ciekawość lub propagandę. Radbym, ażeby *Przegląd katolicki* wytłomaczył nam laikom, czy tego istotnie wymaga dobro religii, ażeby ksiądz zadawał młodej kobiecie pytania, nieuwzględniające wcale jej skromności i daleko sięgające po za obręb własnych jej zeznań? Czy on potrzebuje wiedzieć, jak się nazywają chlebodawcy służących? Czy powinien używać religii do nadwyrężenia stosunków długoletnich i harmonijnych dlatego, że jedna w nich strona nie wytrzymuje jego probierza? Czy dobrze robi, buntując żonę przeciwko mężowi, matkę przeciwko synom, służącą przeciwko państwu? Przecież on zrywa węzły moralne, których niczem nie zastępuje, tłumi wszystkie uczucia prócz bigoteryi, zachęca do łamania obowiązków, stawia w niezgodzie krewnych i przyjaciół. Jeden zaniedbany post lub pogwałcony dzień świąteczny jest w jego oprawie etycznej co najmniej taką samą zbrodnią, jak kradzież lub oszustwo. Czy takie ustopniowanie win może nie pomieszać pojęć? Jeżeli mi *Przegląd katolicki* za te pytania przyśle nową awizacyę do piekła i ponownie oświadczy, że to są niegodziwe wymysły i że konfesyonał działa z niepokalaną prawidłowością, naturalnie awizacyę przyjmę sercem wdzięcznem, a naganę — kornem; ale jeżeli zważy, że ja również jakimś cudem, jakąś pokutą mogę się dostać do nieba i tam będę świadkiem obrachunku jego grzechów, to chyba nie pragnie tego spotkania. Bo nuż w mojej obecności Minos (czy też pełniący jego obowiązki) powie:

— Braciszku kochany, podbijałeś kurs naszych papierów, ale żyrowałeś weksle fałszywe na bank królestwa niebieskiego wystawiane. Chrystus wypędzał ze świątyni faryzeuszów, a dla ciebie każdy lewita był dobry. Broniłeś w swoim cechu nietylko uczciwych, ale i przewrotnych. Każdego, kto przywdział sukienkę księżą, obmywałeś z win i kanonizowałeś za życia; byłeś surowym po za ścianami swego domu, a wyrozumiałym w jego wnętrzu. Każdy ksiądz był ci prostym, chociaż nosił na plecach garb zdrożności. Idźże, przyjacielu, do czyśca na 700 milionów lat.

Jakże mi wtedy *Przegląd katolicki* w oczy spojrzy, gdy ja błagać zacznę:

— Minosie szlachetny, przebacz mu, on był tak naiwnym, tak naiwnym, że ile razy na mnie wymyślał, żałowałem, że nie mam piersi mlecznych i nie mogę go do nich przyłożyć, ażeby possawszy, uspokoił się i przestał fikać nóżkami.

Pamiętając o tej możliwej przysłudze, niech *Przegląd* nie beczy, jak szczypane niemowlę, niech nie patrzy na mnie wystraszonym wzrokiem, a zastanowi się nad kwestyą: czemu w Warszawie konfesyonał tak mało osiąga „restytucyj“?

. . . .

Najwięksi — według Renana — umierają na krzyżu. Byłaby to smutna kolej świata, gdyby ukrzyżowani nie zmartwychwstawali. Nauka, za którą śmierć ponieśli, prędzej lub później odwala kamień grobowy, zmazuje ze swego czoła piętno klątwy, ukazuje się ludziom czysta, promienna, skrzydlata i zyskuje wyznawców. I nawet wtedy, gdy ona przestanie płonąć w przeszłości jako słup ognisty, gdy blaski jej przygasną i zatoną w nowem, mocniejszem świetle, duch, który ją zapalił, pozostaje nieśmiertelnym i czczonym w swem zmartwychwstaniu. Rozwój zwykle tak rozdziela uczucia ludzkie, że teraźniejszość każe męczyć mistrzów, a potomności uwielbiać. W miarę podziwu i długu uwielbia on ich nieraz przez wieki całe i uroczyście obchodzi święta pamiątek ich życia. W tych obchodach filozof zawsze widzi hołd złożony geniuszowi, a prostak zawsze ofiarę i ucztę z poświęconego wieprza.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

List chłopa do *Gazety polskiej*. — Jak żyją włościanie w Kieleckiem? — Fabrykant pod sądem. — Bezrobocie dzieci. — Kary na robotników. — Złotówka i ręka. — Ostrożność. — Dwa bankructwa w Łodzi. — Możnowładcy zgierscy. — Wpływ atmosfery niepewnej na dolę robotników. — Wychowańcy szkoły technicznej w Lublinie. — Na dalekich kresach.

Gazeta polska umieściła obszerny list włościanina z wiernem zachowaniem pisowni i stylu. Dokument ten istotnie byłby ważnem świadectwem cywilizacyi chłopskiej, gdyby nie to, że po przeczytaniu wątpić można o jego wiarogodności. Nauczycielka dzieci pańskich we dworze poświęcała wolny czas na odwiedzanie wsi Kalinówki (powiat i gubernia niewymienione), gdzie oświecała starszych i bawiła się z małymi. Włościanie mieli *Gazetę świąteczną*, ale zechciało się im wiedzieć, co o nich mówią *panowie* w swoich pismach. Nauczycielka dostarczyła im kilka numerów *Głosu* i zeszyt *Ateneum*, zaznaczając „Dwie cywilizacye.“ Najrozumniejszy we wsi, Mateusz, przeczytał wszystko rozważnie i opisał panom, co sam i jego towarzysze myślą: „My teraz wszyscy, to jako niby trzej bracia: panowie dziedzice, to najstarszy brat, panowie szlachta, co gazety piszą i wszyscy panowie, co w miastach mieszkają, to jakoby średni brat, a my, chłopi — to najmłodszy. Najstarszy miał u matki naszej łaski największe; on bronił nas od wszelakiego wroga, a my go, pieczuchy, przez to szanowali. Ale on dalej się chciwić i młodszych, a najgorzej najmłodszego z majętności obierać. Jak jął gospodarzyć, tak dobytek przemarnował i matczyne mienie poszło w poniewierkę. Za ten czas wyrósł średni i dalejże rozumem naprawiać, co starszy popsuł. Ot, potrochu byśmy się zgodzili, żeby nikomu nie było krzywdy; ale średni, przez nasze umiłowanie i *przez gniew na najstarszego, na pomstę i na wstyd* chce, żebyśmy przywództwo domo mieli i żeby wszyscy nami zajęli się najpierwej. Mnie się widzi, że w porządnym rodzie zawsze poszanowanie starszemu, a o wszystkich jedna dbałość przynależne.“ Dalej Mateusz prosi, iżby starsi bracia, co o ich dobro się starają i kłócą wzajemnie, żyli zgodnie z sobą, bo gromada łacniej domiarkuje, za co jąć się potrzeba. Pod koniec chłop wdaje się w piękne obrazy poetyczne, opisując szlachtę młodą, „co to kieby wiater, kiej leci ślepego bez pola i bez łąki, tu zakręci garść piachu, człowiekowi ni za co w oczy rzuci, tam znowu chojaka wyrwie z korzeniami, coby mógł w wielkie drzewo wyrosnąć, hen zboże kłosisto na ziemię powali, bo już taka jego natura, bo wiatr nie ma miarkunku, ale też nie ma i serca złego, i co tu na takiego człeka nastawać i nad nim się pomstować?“

Na jakim gruncie i w czyjej cieplarni wyrósł ten chłop o poglądach szczero-szlacheckich, który każe być pobłażliwym nawet dla takiego wiatru, co jego własną dolę wywraca? Włościanin dowiedział się o starszych braciach, którzy chcą dać mu przywództwo; komuż to nie połechce serca, choćby przy braku zdolności i warunków do przodowania? Tymczasem on się zrzeka tego zaszczytu i utrzymuje, że w porządnym rodzie zawsze poszanowanie starszym jest przynależne. Odwieczny antagonizm, który wszedł w krew i kość dwóch klas walczących z sobą o byt i drobnostki w codziennem pożyciu, nie może odrazu zniknąć nawet przy pewnych ustępstwach ze strony warstwy uprzywilejowanej. Cóż dopiero mówić o zapomnieniu krzywd przez proste rozumowanie, wówczas, gdy walka trwa jeszcze na dobre?

Inaczej zapewne, niż chłop *Gazety polskiej*, rozumują włościanie w Kieleckiem, gdzie ludność szybko wzrasta, zarobku niema, a rozdrabnianie ziemi wielkie rozmiary przybiera. Żaden parobek nie ożeni się z dziewczyną, jeśli nie dostanie za nią morga gruntu. Zagrodnik, posiadający np. ośm morgów, wyposaża czworo dzieci; musi dla nich rozdzielić grunt i pobudować nowe domy. Ci młodzi posiadacze dwu lub jednomorgowi kiedyś będą musieli także swoje dzieci wyposażać... Do czego tam dojdzie w przyszłości, gdy dziś szerzy się nędza niesłychana? Ludzie z wioski rodzinnej o kilka mil chodzą na zarobek, a rezultatem ich pracy są „epizody dramatyczne,“ opowiedziane w *Kraju*. Wyrobnik zdala od swoich pracował trzy tygodnie o suchym chlebie. Znaleziono go później w polu skostniałego pod śniegiem, z piłą na ramieniu i siekierą w ręku. Pieniędzy zarobionych miał przy sobie... półczwarta rubla. Czy „starsi bracia“ złożą wawrzyn na grobie tego męczennika, a osieroconą rodzinę *najmłodszego* przygarną pod skrzydła braterskie? Chyba nie, bo ten nie pracował dla ich dobra. Jest tam inny męczennik, zasługujący na taki dowód uznania: poodmrażał bowiem ręce po łokcie, nosząc łańcuchy geometrze, zapewne przy rozgraniczaniu gruntów chłopskich od pańskich.

Odmieńmy rodzaj męczenników. W Tomaszowie fabrykant, poddany pruski, został pociągnięty do odpowiedzialności za obarczanie nadmierną pracą dzieci. Sąd pokoju w Brzezinach skazał winnego na 15 rs. kary. Inspektor fabryczny, uważając wyrok za zbyt łagodny, założył do zjazdu sędziów pokoju apelacyę, domagając się zmiany kary pieniężnej na areszt. Może nareszcie panowie fabrykanci zgodzą się z tem, iż wygodniej oszczędzać wątłe mięśnie młodych pracowników, niżeli odsiadywać kozę. Nie zawsze małoletni są niewolniczo podatni dla prób ciężkich. Dowodem wypadek następujący: W Łodzi, jak donosi *Tydzień*, wszystkie dzieci, pracujące w przędzalni przy sulfaktorach, nie stawiły się do warsztatu, lecz poszły sobie na spacer. Ciekawe zapewne nastąpiło powitanie nazajutrz przez pryncypała tych małych zuchwalców, a jeszcze ciekawszy powód buntu. Musiało im być w przędzalni bardzo ciasno i duszno, skoro odważyły się aż cały dzień oddychać świeżem powietrzem... nie bacząc, że je coś więcej niż rózeczka spotkać może za tę swawolę. Tu kulisy nie pozwalają nam dojrzeć kary; za to wolno ją odczytywać na litografowanych tablicach, wywieszonych w fabrykach dla dorosłych. I tak: za 10 minut spóźnienia się robotnik płaci 5 kop.; za godzinę — 15 kop., za ćwierć dnia — 30 kop., za pół dnia — 50 k., za nieprzyjście do roboty przez dzień cały lub więcej — rs. 1; za palenie tytoniu w zabudowaniach rs 1; za siadanie na warsztatach tkackich lub spanie podczas pracy rs. 1; za awantury, bójki 50 kop.; za włóczenie się po innych oddziałach fabryki 10 — 25 kop.; za samowolne nałożenie pasa lub zapalenie gazu rs. 1; za rozmyślne skaleczenie maszyną —

kara stosowna do skaleczenia; za oszustwo, fałszywe podanie ilości wyrobionego towaru, podskrobywanie w książce robotniczej itd. 30 k. — rs. 1; za czyszczenie maszyn i transmisyi podczas ruchu — 50 kop.; za złe czyszczenie, lub zupełne nieczyszczenie 10 — 50 kop.; za przyprowadzanie z sobą i zatrzymywanie dzieci małych, tak majster, jak i robotnik płacą po rs. 1; za *lenistwo* (!) tj. wyrobienie mniej towaru, niż wynosi przyjęta norma — 15 — 30 kop.; *za długie przesiadywanie w miejscach ustępowych — 10 — 25* kop. Kary za zepsucie towaru odpowiednie są do gatunku materyału: za zerwanie nitki do ½ łokcia długości 1—2 k., do łokcia 3—5 k.; za małą fastrygę 2—3 k.; za większą — 3—10, 4—10 kop.; za każdy mały supełek 2 — 3 k.; za każdy większy 3—10, 4—10 kop.; za wyzębiony, niegładki brzeg 10 — 15 kop.; za każdą sztukę nieoczyszczoną 5—10 kop.; za zabranie szpulek innym robotnikom kara odpowiada ilości zabranych szpulek. Są dwa sposoby ściągania kar za zepsuty towar: 1) robotnik płaci a towar pozostaje przy fabrykancie; 2) robotnikowi zwracają zepsuty towar, strącając całą jego wartość, nieraz ze znacznym zyskiem.

Wszystko to się robi *dla dobra* samych robotników, bo kary ściągane idą na ich własne potrzeby: wsparcia dla chorych i inwalidów, komorne, utrzymanie szkoły i nauczyciela, odzież dla biednych uczniów, pomoc lekarską, pensyę doktora, felczerów, pogrzeby, lekarstwa, nagrody za dokładną pracę, za wyrobienie większej nad normę ilości towaru itd. Są jednak między nimi tacy, którzy przekładają złotówkę nad dobro publiczne. Ślusarz, pracujący przy oddzielnym warsztacie, zrzucił pas przewodowy i zawiesił robotę. Majster, spostrzegłszy to, zagroził karą piętnasto-kopiejkową, gdyż brakowało jeszcze kwadransa do oznaczonej godziny. Rękodzielnik, przerażony groźbą, prosił majstra, aby mu dopomógł w założeniu na powrót pasa: „Umiałeś zrzucić, to umiej założyć!“ — brzmiała odpowiedź. Spróbował; lecz w tej chwili pas go uniósł w powietrze. Ślusarz runął na ziemię, a ręka... pozostała w górze. Odesłano skaleczonego do szpitala, gdzie znajdzie *natychmiastową* pomoc lekarską, za złotówki i ruble przedtem zeń ściągnięte.

Wszystko to świadczy o dobrem sercu pracodawców. P. X. ściągnąwszy kary 11,481 rs. 30 kop., dołożył jeszcze z własnej szkatuły 3,819 rs. 51 kop. Na szczęście zarobił je.

Idźmy dalej za śladem tego miłosierdzia. Lekarz powiatu łódzkiego, Wieliczko, zaproponował bezinteresowno szczepienie ospy ochronnej rodzinom robotników fabrycznych w Zgierzu, z warunkiem, aby ich zwierzchnicy złożyli 150 rs. na zakupienie „krowianki“ z instytutu d-ra Mączewskiego w Warszawie. Możnowładcy zgierscy, jak donosi *Dziennik łódzki*, stanowczo odmówili. Zapewne nie zdołali jeszcze ściągnąć ze swoich pracowników tytułem kary takiej sumy, iżby mogli bawić się w filantropię.

Atmosfera niepewna w świecie przemysłowym, wywiera swój wpływ szkodliwy na pracowników wszelkiego rodzaju. Korespondent z Lublina donosi *Wiekowi*, iż wszędzie ograniczają liczbę rąk roboczych. W majątkach ziemskich służbę dworską zmniejszają bezustannie, lub płacę uszczuplają; w zakładach fabrycznych to samo; w handlach zastępują pomocników bezpłatnymi uczniami. Jaka przyszłość czeka ludzi wykolejonych, niefachowych, kiedy nawet uczniowie szkoły technicznej w Lublinie, którzy ukończyli ją w r. 1885/6, dotychczas, pomimo obietnic, nie uzyskali posad na drodze żelaznej i długo jeszcze czekać będą, gdyż kolej Nadwiślańska, pchana ogólnym prądem, ciągle uszczupla zastępy swoich pracowników. Gorsza dola ściga naszych rodaków na dalekich kresach. *Krajowi* donoszą z Tyflisu, iż przed kilku miesiącami przybyła tam garstka młodych ludzi, polaków, z rozmaitych zakładów naukowych. Po kilkotygodniowych poszukiwaniach, zmuszeni byli chodzić po hotelach z prośbą u gości z dalszych stron kaukazkich o jakie zajęcie. Ludzie fachowi, wykształceni, zgadzali się przyjąć służbę za stół i mieszkanie. Kto dzisiaj marzy o zdobyciu skarbów za górami, mówi korespondent, niech wpierw, jeśli może, dokładnie zbada, czyby nie dało się pozostać w domu.

Drogomir.

PRASA ROSYJSKA.

Graždanin pisze z powodu ataku prasy niemieckiej na p. Katkowa.

„Boże mój, cóż to za krzyk, jaka wrzawa, jaki gwałt dokoła Katkowa!

Katkow przyjechał, Katkow coś miał powiedzieć, Katkow czegoś się domaga itd.

Urzędnicy i dygnitarze mówią o Katkowie z jakiemś drżeniem, a pisma zagraniczne wciąż tylko o Katkowie piszą... Katkow i Bismark... Bismark rzekł słowo — kurs poszedł w górę. Katkow napisał słowo — kurs upadł. A znany z kłamstwa paryski *Figaro* cały artykuł napisał o Katkowie, mieniąc go olbrzymem dźwigającym przyszłe losy świata.

Biedny Katkow!... Prawda, że miło to być takim wszechświatowym olbrzymem, ale nie ma róży bez kolców, jeszcze rzymianie mówili: „qui habet commoda — debet ferre onera.“ Największą dozę nieprzyjemności stąd płynących zawdzięczać musi biedny Katkow, jak zwykle, przyjaciołom. Czego ci o nim nie wygadują, miły Boże! Wprost naprzykład mówią, że Katkow chce przyjąć udział w rządzie, że jest ambitny i nienasycony, że stawia opór woli i rozporządzeniom władzy, jeżeli te mu się nie podobają, że wreszcie uznaje ją tylko wtedy, gdy ta działa zgodnie z jego poglądami. I tak dalej, bez końca.

Ale przyjaciele Katkowa idą jeszcze dalej. Katkow, dajmy na to, zawinił w czemś przeciw cenzurze—rzecz, która się każdemu z nas trafia. A no, zawinił, niechajże odpowiada, dając sam przykład poszanowania władzy i porządku, które tak gorliwie innym zaleca. On sam jest tego zdania. Ale wnet usłużni przyjaciele trąbią po salonach Petersburga: „Zmiłujcie się, Katkowa nie można pociągać do odpowiedzialności; toż on oddany interesom władzy!“ Innemi słowy, czynią go winnym takiego rozumowania: jestem oddany rządowi pod warunkiem, że jestem bezkarny. Czyż to nie obelga taka insynuacya? Czyż nie wiemy wszyscy, i on także, i to lepiej od nas wszystkich, że dla honorowego rosyanina i sługi cesarskiego nie ma i nie może być żadnych warunków lojalności? Bo jeżeli dziś jest możliwy taki warunek, to dla czegoż jutro nie miałby być inny?

I Katkow nigdy nie myślał mieć takiego uprzywilejowanego stanowiska. Ja też, nie należąc do kategoryi usłużnych przyjaciół Katkowa, ale poważnie ceniąc jego wielki talent publicystyczny, powiem tym przyjaciołom jego, że mało prawdy w tem, co mówią.

I sensu w tem niewiele. Katkow to nie mąż stanu, lecz publicysta wielkiej miary i talentu. Ale największy talent nie przeniesie człowieka w obcą sobie sferę. Coby powiedziano, gdyby Rubinstein oświadczył, że skoro jest wielkim muzykiem, a więc może zostać ministrem spraw wewnętrznych? Roześmianoby się. I Katkow też się śmieje z tych, którzy go pasują na męża stanu z tej racyi, że jest utalentowanym publicystą.

On sam, zapytany, takby odpowiedział:

— Cóż to za brednia! Ja nietylko nie wciskam się do rządu, ale dlatego właśnie mam stanowisko i znaczenie, że nie jestem rządem, lecz publicystą. Jako taki piszę pod wrażeniem chwili. Ja sam miałbym za złe rządowi, gdyby postępował tak, jak ja piszę. Ja odpowiadam za swoją gazetę, jako wyraz bieżącej chwili; rząd odpowiada za państwo i za epokę. Ja mam sympatye i antypatye; rząd tylko może mieć bezstronność. Ja zmieniam i zmieniałem nieraz przekonania tak w dziedzinie polityki, jak i w innych; przyjrzyjcie się mojej gazecie, a zobaczycie, że ja byłem i parlamentarzystą i filozofem deistą i wolnohandlowcem i przeciwnikiem słowianofilów itd.; weźcie tylko rok przeszły a przekonacie się, ile ja wypisałem słów gorącego uczucia i uznania dla Niemiec i ich polityki... Czyż mógłby co podobnego zrobić rząd, który ma przecież jeden cel i jeden program?

Dziś ja mogę być niezadowolony z jakiegoś aktu polityki zewnętrznej naszej dyplomacyi, ale jutro byłbym może jeszcze bardziej zdumiony, gdyby rząd usłuchał mojego chwilowego uniesienia, albowiem słusznie lękałbym się wpływu na rząd i innych uniesień i przywidzeń.

Nie. Ja znam moje miejsce, znaczenie i cenę, nie zbiją mnie z tropu plotki usłużnych przyjaciół. Mnie można wybaczyć, jeżeli słowo moje silne wydaje się przeciwnem polityce rządowej zagranicznej, albowiem słowo to wogóle ma wielką wagę tak u nas, jak i dla zagranicy i często bardzo służy za punkt oparcia i siły dla tejże samej polityki zagranicznej. Ale nigdyby mi nie wybaczono, gdybym dawał przykład warunkowej uległości powadze rządu, o ile mi się to spodoba.“

KRONIKA BIEŻĄCA.

Kuryer warszawski, uzupełniając poprzednio podaną listę redakcyj, które zakupiły nabożeństwo za duszę Kraszewskiego, dopisuje *Prawdę*. Ponieważ zasługa ta nam się nie należy, więc przyjąć jej nie może my, tembardziej, że według nas nawet ludzie religijni raczej winni podziękować Bogu, że tę duszę stworzył, niż prosić, ażeby jej winy przebaczył. Natomiast, jeżeli złożony będzie niezapomnianemu nieboszczykowi jakikolwiek hołd publiczny, złączony z trwałem upamiętnieniem ogólnej dla niego wdzięczności, chętnie przyjmiemy moralny i materyalny udział w takiem społecznem nabożeństwie.

Zarząd kolei Wiedeńskiej i Bydgoskiej wydał do całej służby obu dróg żelaznych okólnik, zalecający urzędnikom, pod odpowiedzialnością utraty służby, używać w stosunkach piśmiennych z władzami rządowemi wyłącznie języka rosyjskiego, oraz, iżby służba stacyjna pociągowa, dzierżawcy bufetów i usługujący na zapytania podróżnych, czynione po rosyjsku, odpowiadali w tymże języku. Nad wykonaniem tego rozporządzenia czuwać będą zawiadowcy stacyj, kontrolerzy objazdowi, którzy w razie uchybień mają składać raporty.

Egzaminy. Kurator okręgu naukowego warszawskiego podaje do wiadomości osób interesowanych, iż egzaminowanie kandydatów z prywatnego wychowania, życzących uzyskać świadectwo urzędowe z całkowitego kursu szkół realnych, odbywać się będzie w r. b. tylko w Łowiczu i Włocławku.

Opłata od testamentów została podniesiona z 60 k. na 3 rs.

Sędziowie pokoju przestrzegają obecnie, aby izraelici w podpisach na dokumentach używali swoich, nie zaś chrześciańskich imion.

Ministeryum uwolniło Towarzystwo kredytowe m. Warszawy od opłaty stemplowej, która na zasadzie nowych postanowień skarbowych ma być pobierana przy dołączaniu świeżych arkuszy kuponowanych w rozmiarze 60 kop. od arkusza przeszło 50-rublowej wartości i 10 kop. od mniejszej wartości.

Fabryka kawioru powstała w Warszawie na małą skalę.

Konkurs. „Lutnia“ tutejsza ogłasza konkurs, powołując muzyków krajowych. Tematem jest hasło na chór męzki bez akompaniamentu na czterowiersz Mickiewicza:

O pieśni gminna! Ty arko przymierza
Między dawnemi i młodszemi laty,
W tobie lud składa broń swego rycerza,
Swych myśli przędzę i swych uczuć kwiaty.

albo na czterowiersz Kochanowskiego:

Lutnia wódz tańców i pieśni uczonych.
Lutnia — ochłoda myśli utrapionych;
Ta serca zmiękczy swym głosem przyjemnym
Bogom podziemnym.

Termin nadsyłania partyturek wraz z pojedynczymi głosami upływa z dniem 15 maja r. b. Utwory nie powinny przechodzić 24 taktów. Nagroda 5 dukatów w złocie. Rękopisy pod adresem księgarni Gebethnera i Wolffa w Warszawie—dla „Lutni.“

W instytucie dla obłąkanych kobiet przy szpitalu Dzieciątka Jezus panuje ogromne przepełnienie.

Didot-Bossin. Rocznik słownika handlowego firm całego świata, pod tym tytułem wydawany w Paryżu, ukazał się w Warszawie. Dział Królestwa Polskiego dość obszerny.

Studenci uniwersytetu warszawskiego wezwani zostali przez swą władzę do podpisywania następującej deklaracyi na drukowanym blankiecie: „W wykonaniu polecenia p. ministra oświaty z d. 24 stycznia r. b. nr. 1202 oświadczam, przysięgając na honor i sumienie, że nie należę i na przyszłość nie będę należał do żadnych stowarzyszeń, jak np. ludowych (ziemlaczestw) itp., a również nie należę i nie będę należał nawet do towarzystw dozwolonych przez prawo, bez decyzyi na to w każdym oddzielnym wypadku najbliższej mojej władzy uniwersyteckiej, pod odpowiedzialnością w razie przeciwnym niezwłocznego wydalenia z uniwersytetu.“

Zarządy kolejowe wydały ponowne zlecenie agentom swoim przygotować się do złożenia egzaminu z języka rosyjskiego, tudzież z obowiązujących instrukcyj służbowych.

Podwyższenie etatu. Zarząd miejski w Warszawie powiększył o 9,000 rs. etat 29 szkół początkowych miejskich dla dzieci wyznania chrześciańskiego.

Fundusze stypendyalne, wynoszące w okręgu naukowym warszawskim niespełna dwa miliony, powiększyły się w roku ubiegłym o przeszło 60,000 rubli, przeznaczonych głównie na stypendya dla uczniów.

Most na Bugu dla kolei mławskiej został już ukończony.

Fałszywe banknoty. Władze policyjne i sądowe przesłały do r. 1885 do Banku państwa 105,826 sztuk banknotów podrobionych na ogólną sumę 892,669 rs.

Podania do szkół technicznych winny być opatrzone markami stemplowemi odpowiedniej wartości, gdyż zakłady te po przejściu pod bezpośredni zarząd ministeryum komunikacyi stanowią instytucyę rządową.

Przyrząd alarmujący. Jeden z mechaników warszawskich zbudował przyrządy elektryczne do ogłaszania pożarów, według nowej metody.

Wydalania żydów. Według *Odess. List.*, notaryusze, mający swe kancelarye w Odesie, wydalili dotychczas 50 pomocników starozakonnych.

Wywóz jaj z Królestwa za granicę w ostatnich czasach ogromnie się zwiększył. Partye dzienne odchodzącego towaru dosięgają kilkunastu tysięcy rubli.

W Mińsku gubernialnym rozstrzygniętą została przez sąd okręgowy sprawa dr. Orzechowskiego na rzecz Towarzystwa dobroczynności w Warszawie. O unieważnienie testamentu, przekazującego 200.000 rubli dla powyższej instytucyi, wystąpili dwaj bracia zmarłego. Sąd pretensye oddalił, uznając testament za ważny.

Ministeryum dróg i mostów zaprojektowało, aby wszyscy służący z wolnego najmu przy drogach czasowych, liniach komunikacyi wodnej i na statkach obowiązani byli składać przysięgę.

Wystawa krajowa w Krakowie. Komitet w pełnym składzie uchwalił, aby wystawa odbyła się stanowczo w roku bieżącym. Dział sztuki zostanie zupełnie pominięty. Postanowiono arcyksięcia Rudolfa uprosić na protektora; dr. Zyblikiewicza obrano pierwszym prezesem.

Cholera ukazała się w Peszcie.

W Poznańskiem opieka nieletnich Rzyszczewskich sprzedała na cele kolonizacyjno-germanizacyjne dobra Wielkie Krzycko, wynoszące około 4,000 morgów.

Doktoryzacya. Na uniwersytecie berlińskim otrzymali stopień doktora wszech nauk lekarskich (*cum eximia laude*) polacy: Mieczysław Biernacki z Królestwa i Jan Pniewski z Poznańskiego.

Z fabryki broni w Spandawie usunięto kilku robotników, których nazwiska przypominały pochodzenie polskie. Robią im zarzut z narodowości, do jakiej żaden z nich się nie przyznaje.

Czytelnia kobiet we Lwowie, założona przed rokiem, liczy obecnie około 200 członków, posiada swój własny lokal, gdzie się odbywają tygodniowe zebrania i odczyty. Biblioteka posiada 400 dzieł i dwadzieścia kilka czasopism dla użytku członków.

Katastrofy. W Poti burza zerwała w porcie z kotwicy cztery okręty, z których dwa się rozbiły, a dwa zatonęły.

— Parostatek holowniczy „Zwiezdoczka“ został wyrzucony na brzeg, maszyna parowa do czerpania piasku zatonęła.

— Na drodze z portu zatonął okręt włoski z 50 ludźmi i 63.000 pudami pszenicy.

Leczenie suchot. Dzienniki zagraniczne podają za rzecz pewną, iż ordynator szpitala w Filadelfii, dr. M'Laughlin, wyleczył niedawno 30 chorych, znajdujących się w ostatnim stopniu suchot, przez wstrzykiwanie kwasu karbolowego.

Zmarli. Michał Zawadzki, pianista i kompozytor, 22 marca we wsi Zahińcach, gub. podolskiej, w wieku lat 58. Był autorem wielu pieśni i dumek. Drukował prace literackie w *Ruchu muzycznym* i korespondencye „Z Ukrainy“ w *Kronice* Bartoszewicza.

— Karol Żółkiewski, akademik, jeden z głośniejszych przewodników towarzystw akademickich we Lwowie.

— Wacław Dąbrowski, prezydent m. Lwowa. Był rzemieślnikiem. Własną pracą dorobił się znacznego majątku. W radzie miejskiej zasiadał od r. 18[illegible] wał dwukrotnie na sejm krajowy.

— Dr Kazimierz Szulc, członek Tow. pr[illegible] w Poznaniu. Po trzechletniem więzieniu w Magdeburgu udał się do Paryża, gdzie kilka lat przebył w niedostatku, zarabiając po 5 fr. tygodniowo. Potem został powołany na dyrektora szkoły montparnaskiej. W r. 1871 wrócił do Poznania, tam wszedł do redakcyi *Dziennika*, następnie objął redakcyę *Gazety wielkopolskiej*. Później, po upadku tego pisma, był dyrektorem „Westy,“ towarzystwa ubezpieczenia życia. Napisał rozprawy: „O spółkach produkcyjnych“ i „O położeniu Austryi wobec Rosyi pojednanej z Niemcami.“ W ostatnich czasach pisał wiele o słowianach południowych.

— Dr Stanisław Pilawski, w Siedlcach, padł ofiarą tyfusu plamistego w 43 roku życia.

— W Sèvres, Feliks Drohojowski, b. wojskowy b. wojsk polskich. Przez długie lata był profesorem w szkołach przygotowawczych wojskowych francuskich. Przysposobił kilka generacyj oficerów rozmaitej broni.

Do dzisiejszego numeru dołączamy **Katalog** Kleinsingera.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 26 Марта 1887 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.